

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE • TYGODNIK • THE POLISH NEWS

STANISŁAW STROŃSKI

HASŁO ZBĘDNE I BŁĘDNE PIATILETKA PIELGRZYMSTWA

W życiu naszym na obczyźnie słyszy się czasami — a ostatnio raczej coraz częściej niż coraz rzadziej — hasło rządów chłopsko-robotniczych w przyszłej Polsce lub zgola przyszłej Polski chłopsko-robotniczej.

Prawdopodobnie ci, którzy to określenie rzucają, nie wkładają w nie pełnej treści, a zapewne i dokładnego namysłu. Lecz to często tak bywa, że do hasła dostosowują się swolna pojęcia, a ci, którzy słyszą, nadają słowom znaczenie proste i pełne: jak ci, którzy słyszą, tak ci piszą. Co więcej, zdarza się też, że ci, którzy zaczynają głosić jakieś brzmienie treści hasła, ot tak najniwieńniej w świecie, jako jedno z powszednich kłamstw obywatelskich, sami powoli o tem zapominają i biorą je dosłownie. A wtedy zjawiają się, czasem już za późno na powstrzymanie, grubsze kłopoty, urastające niekiedy w przewrót.

Hasło chłopsko-robotnicze nie jest odzwierciedleniem myśli snutej obecnie w Kraju. Mylnie zaś byłoby mniemanie, że tak się nam tylko wydaje, gdyż nasza styczność z Krajem jest ulonna i niedostateczna. Przeciwnie, znamy wale dokładnie pisma krajowe, znamy nastroje społeczeństwa, znamy uchwały, postanowienia i tryb współpracy grup politycznych. Jasno, prosto i wyraźnie góruje tam hasło zgodnej walki całego narodu przeciw najezdy, o wolność całego tego narodu, a z tem nie godziłyby się hasła zaciszające i wyłączone.

W ciągu dwudziestolecia Polski odrodzonej, pomiędzy oboma wojnami światowymi, zwołano to chłopsko-robotnicze nie było u nas nieznanie. Wyszukiwali je nie tylko komuniści leci i socjaliści. Nie chcą zostawiać komunistom wyłączności posługiwania się tem hasłem, że względu na współzawodnictwo w tych samych kręgach społecznych, socjaliści polscy, naogół jednak bardzo niechętni upodabnianiu się i brataniu z komunistami, i raczej zakłopotani różnemi koniecznościami tego współzawodnictwa, nie wkładali w nie pełnego wydechu jako w krzyk sereca.

W ruchu politycznym wsi polskiej hasło chłopsko-robotnicze nigdy się nie zadomowilo. Witos, już pod koniec poprzedniej wojny, nie dał się wciągnąć na ten grunt, odmawiając udziału w t.zw. "rządzie lubelskim", a następnie, w toku całej jego działalności, nie tylko jako kierownika polityki państwa, ale także jako przewodcy stronnictwa, nie słyszało się nigdy z ust jego tego określenia. Hasło zaś Polski ludowej, przyjmowane naogół również przez socjalistów, miało znaczenie szersze i wyrażało raczej, jakby w przekładzie na polskie, to samo co Polska demokratyczna.

Neopatrnie wysuwanie na obczyźnie tego hasła Polski chłopsko-robotniczej, czy też rządu chłopsko-robotniczego w Polsce — co s.p. jen. Sikorski uchylał stale i stanowczo — co napewno i nadal będzie przez Rząd uchylane — byłoby nie tylko bardzo opaczne w naszym życiu wewnętrznym, lecz i bardzo szkodliwe wobec świata.

W hasle rządów chłopsko-robotniczych nie wyraża się dawne zagadnienie równouprawnienia społecznego i obywatelskiego, nie sporne i rzeczywistostne lub rzeczywistniane, lecz raczej dążność do nowego przylwileju.

Zdaje się, że w wielu umysłach ludzkich nieuleczalna jest skłonność, poprzez wiary i w okolicznościach odmiennych lub odwróconych, do stawiania sprawy nie na podstawie: nikt nie będzie uprzywilejowany, lecz na podstawie: kto będzie teraz uprzywilejowany?

Dzisiaj, w życiu polskiem, hasło rządów chłopsko-robotniczych czy też Polski chłopsko-robotniczej godzi najistotniej w trzecią najliczniejszą skolei grupę społeczną, a mianowicie w ludzi pracujących umysłowo i na podstawie wykształcenia umysłowego.

Nikt nie mówi, broń Boże, iż warstwa ta ma zginąć. Ale hasło chłopsko-robotnicze jej nie uwzględnia, nie wymienia, nie obejmuje. Zostawia się jej jakieś miejsce domyślne, bytowanie na zasadzie: ni to ni owo, domykanie do zaprzęgu na przprzarkę.

Właściwie zaś, wobec takiego wysunięcia tylko dwu czynników, a pominięcia trzeciego, znaczy to na dnie:

— Ależ owszem, zostawiamy warstwie wykształconej i pracującej umysłowo najpełniejszą swobodę myślenia i twórczości... w duchu naszych poglądów, upodobań i nakazów.

Taka wykładnia — jeśli rozszerzyć się w świecie współczesnym z jego różnemi dążnościami do brania myśli na służbę — nie jest urojeniem.

A przecież wydaje się, że właściwe miejsce tej warstwy w narodzie, i to nie dla jej lecz dla jego dobra, jest inne niż tak ot dopuszczone tylko milcząc lub ledwie półgłosem. Coś kuleje w tem pomijaniu.

Tkwi w tem, przedewszystkiem, przedziwnie nieporozumienie, że stanowiska samych właśnie dzieł postępu społecznego u nas, podobnie zresztą jak gdzieindziej, gdyż zarówno współczesny ruch ludowy jak współczesny ruch robotniczy w Polsce zrodziły się, wzrosły i okrzepły dzięki myśli i pracy przodowników spośród warstwy wykształconej i pracującej umysłowo.

Jest to ścisła prawda, czy się sięgnie dalej wstecz w źródła i w powolne kielkowanie postępu społecznego, czy też bliżej w ostatni okres jego wzrostu u nas. Już to, co przekazała w tej dziedzinie dawna Rzeczpospolita, od Ostroroga i Modrzewskiego poczynając, do ludu Sejmu Wielkiego, było chlubne i

owocne. Ale, powie ktoś, to stare dzieje, choć powie niesłusznie, gdyż nie masz wielkich drzew z młodem liściem bez starych korzeni i starego pnia, odwiecznych zbiorników życia i krasy. Lecz również nowoczesny ruch społeczny w Polsce rozdził się, w ciągu w. XIX, w umysłach ludzi tej właśnie warstwy wykształconej, w imię rozprzestrzenienia myśli obywatelskiej i dążenia do niepodległości z dziesiątek tysięcy na dziesiątki milionów. Założycielami i przodownikami zarówno ruchu chłopskiego jak ruchu robotniczego byli ludzie warstwy wykształconej własną i swoją twórczością w tej dziedzinie oraz przyswajaniem wzorów obcych. Taki bowiem jest rozwój społeczny przyrodzony, którego prawem jest współzycie, udoskonalanie i sprawiedliwe wyrównywanie wzwyż bez zwrócenia w dół. Zwracanie dzisiaj ruchu społecznego w Polsce, chłopskiego i robotniczego, przeciw rodzinnemu skupisku wykształcenia i pracy umysłowej, jak dziecka przeciw rodzicom, byłoby właśnie dziwnem i złośliwym, a także złowrogim, nieporozumieniem.

Po wtóre zaś, jeśli warstwie wykształconej przypada ojcostwo ruchu chłopskiego i robotniczego w zakresie myśli społecznej, to znowuż ona sama jest ich latoroślą i kwiatem jako krew z krwi i kość i kości. Tak zresztą było od początku dziejów w Polsce, gdzie szlachta była pochodzenia i narastania rodzinnego, a nie, jak w wielu innych krajach, napływowego wraz z podbojem. Ten rozwój wewnętrzny budowy społecznej trwa u nas nadal, udoskonalając się i oczyszczając z dawnych skłonności do zasklepień, które zresztą nie były naszymi swoistym wynysłem czy upodobaniem lecz powszechnym nalożem ustrojowym dawnych wieków. Hasło chłopsko-robotnicze, zaburzające ten zdrowy rozwój nowem zasklepieniem w imię nowego przylwileju, byłoby nieodroczne samo w sobie i hiszycielskie społecznie.

Przedziwnie to sztyderstwo losu, że stanowiska samego postępu społecznego, jeśli hasło chłopsko-robotnicze, rzucone pod jego wezwaniem i na rzecz tych właśnie warstw, godzi w ich przyrodzony pęd wzwyż i ścina głowy wyrastające ponad strzechy, którym ulonna i zwałowna pomyslowość ludzka chce wyrównywać błogosławione objawy bujności życia i twórczości sił duchowych człowieka.

Myśli bowiem ludzkiej, we wszystkich dziedzinach, towarzyszy w ukryciu i w zarodku zrazn niedostatecznym chochlik przesady, rozkołysania, wykojenia. Półki myśli pracuje w zrównoważonych karbach miary, tej najpewniejszej przewodniczki umysłu ludzkiego, chochlik drzemie. Gdy jednak myśli wybuja nieopatrznie, chochlik się budzi do swych harców potliwych, zdolnych zniszczyć samą myśl podstawową i przewodnią, podobnie jak pasożyt, czchając na okoliczności sposobne, zabija roślinę, na której żyje.

Sedno rzeczy jest jednak w tem, że pojęcie Polski z jej tysiącletnim dorobkiem i otwartym przed nią gwałtownym szlakiem w przyszłość na skiepieniu dziejów, nie mieści się w tem zaklepie chłopsko-robotniczym.

A o to nie trzeba wcale się spierać, ciągnąc w dwie strony, lecz można się pogodzić, stwierdzając poprostu i prawdziwie:

— Jak nie byłoby Polski bez ostoi trudu i znoju chłopu i robotnika, tak też nie byłoby Polski bez pracy umysłowej i wykultu twórczości warstwy wykształconej.

Polska, jako zjawisko odrębne w świecie, to jest ziemia, to jest naród przy pracy i na emmentarzach i w kołyskach, to jest mowa i obyczaj, to jest wytwórczość i twórczość, to jest ciało i duch. Praca i twórczość umysłowa jest zaś i wyrazem i żywicielką ducha. W niej zetrzebla się najdobitniej znamie odrębności, wartość odrębności, prawo odrębności Polski w świecie.

Twórczość ta nie jest zaś wcale dorobkiem jednej tylko warstwy. Naród żyje jako całość, pokoleniami, długim oddechem. Ojciec orze i kuje, syn czyta i pisze, wnuk tworzy w wiedzy i w pięknie. A życie stosuje prawa płodności, ugorów i urodzajów.

Niemia tu przeciwstawiać. Jest zespolenie w rozwoju. Poca sztucznie przeciwstawiać?

Bez tej twórczości rodzimej byłibyśmy nie narodem, lecz plemieniem, bez imienia lub właśnie tylko z imieniem bez dźwięku i barwy. I los nasz w toku wieków byłby przesadzony. Stalibyśmy, się, jak nam to groziło od w. X, pastwą napróżd wpływów obcych, a potem, jak zwykle bywa, podboju i wynarodowienia. Dzięki zaś tej twórczości własnej, od tysiąclecia narastającej i dającej nam samym z pokolenia w pokolenie życie bogate i warte życia, imię Polski ma też w świecie dźwięk pełny i szlachetny, a obraz Polski w umysłach świata ma barwę żywą i świetną: płaszczy na naszym duchu nie jest wybrany.

Dlatego też, w czasach klęsk i grozy, świat wie co to Polska.

Setki i tysiące razy w toku czterolecia tej wojny przewożyli inni narody, z Churchill'em i Rooseveltem naczelnymi, stwierdzali: — Chęć zgładzić Polskę, kraj starej cywilizacji, naród wyróżniający się piękną twórczością.

— Nie mówią o Polsce chłopsko-robotniczej: mówią poprostu i krótko o Polsce.

Nie powinno się dzisiaj obwieścić u nas, a wskutek tego następnie i gdzieindziej, Polski chłopsko-robotniczej ze względu na gorące w związku z tem balamutwa w zakresie społeczno-gospodarczo-politycznej geografii Europy.

Zachód, ani europejski ani amerykański, nie używa u siebie tego określenia, chociaż za się przeciw kraje najbardziej postępowe i demokratyczne, a raczej właśnie dlatego, że są postępowe i demokratyczne z mocno ustalonymi zdrowymi pojęciami postępu i demokracji. Nikt tam nie myśli o zasklepieniu się w kregu społeczności chłopsko-robotniczej z pomniejszonymi i nieodpowiedzia-

Please Ask For
L. A. Kupferwasser

nemi dodatkami. Nikt nie wstydzi się istnienia warstwy wykształconej i umysłowo pracującej i nie spycha jej gdzieś w zasłanianie kątów budowl społecznej. Społeczeństwo jest tam, mimo tarć gospodarczych i zarobkowych wszelkiego rodzaju, i to raczej czystych, zwaną całością z wybitnym pędem jednostek wzwyż jako cechą nie tylko umną ale bardzo istotną i przewodnią.

Nowe hasła chłopsko-robotnicze i t.zw. dyktatury proletariatu, wraz z dostosowywaniem do nich rzeczywistości, znalazły wyraz w Rosji Sowieckiej. Jej to właściwość i jej sprawa. Świat zachodniej Europy i Ameryki uważa to za odrębność Rosji Sowieckiej i nie schodzi, pod wezwaniem chłopsko-robotniczym i dyktatury proletariatu, ze swego toru społeczności pełnej i demokracji.

Polska, główna sąsiadka zachodnia Rosji, należy i w tym względzie do świata zachodniego. Otóż dzisiaj, gdy mówi się niejednokrotnie o przesunięciu granic Rosji m.in. na obszar Polski i o ustaleniu przodownictwa Rosji poza jej granicę w Europie środkowo-wschodniej, trudno o większą nieogledność niż zacieranie istniejącej granicy polsko-rosyjskiej i zarazem odwrócenie granicy świata zachodniego u wrót Rosji balamutem przyjmowaniem hasła chłopsko-robotniczego.

Latwo byłoby bowiem usłyszeć: — Jeśli wy sami upodabnacie się, czy warto światu o to głowy sobie rozbić?

Gdyby przeto wysuwaniu hasła Polski chłopsko-robotniczej przyświecała myśl przedstawiania wobec świata w dobrem świetle naszych dążeń postępowych, byłoby to nadmierne gorliwość wiele chybioną i w skutkach oplakanej.

Niemcy, po najezdzie i zagarnięciu Polski pod swe władanie, gromko obwieścili i powtarzali dzień w dzień:

— Nie będzie już narodu polskiego. W Polsce zostaną tylko chłopcy i robotnicy w służbie Niemiec. Warstwa wykształcona jest w Polsce zbędna i wyższe wykształcenie jest Polakom niepotrzebne.

Wiedzą Niemcy czego chcą i co robią. Chęć zabić naród, ścinają głowy.

Jak zaś zapowiedzieli, tak też działali.

Straszliwe, bezprzykładne w dziejach, tepienie warstwy wykształconej w Polsce, ludzi nauki, duchowności, wszelkich zawodów pracy umysłowej, poszło na pierwszy rzut zbrodniczego przedsięwzięcia zniszczenia narodu polskiego.

Wielka na pierwszy ogień, warstwa wykształcona w Polsce stanęła też w pierwszym szeregu bohaterstwa oporu, cierpienia, walki i nieugiętej woli, budząc podziw świata i ukazując mu co to jest Polska.

Gdy zwołanie Polski chłopsko-robotniczej dociera dziś do Kraju, bojownicy ci w pierwszym szeregu pytają:

— A my?

Mniej powodu do niezadowolonia wobec takiego zacieśniania i wyłączenia, zbiegającego się z ich własnem hasłem Polski bez warstwy wykształconej, mieliaby Niemcy.

Napewno zaś nikt z spośród tych u nas, którzy igrają tem zwołaniem, nie chciałby Niemcom dogadzać.

Trzeba przeto zwiększyć ogledność w tym względzie, nie tylko unikając hasła balamutnego, lecz najstaranniej się go wystrzegając.

STANISŁAW STROŃSKI

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PIATILETKA PIELGRZYMSTWA

Czasem, ale tylko w rzadkich momentach zgorzknienia, wydaje mi się, że tajna radiostacja krajowa „Świt” jest może nabytą optymistyczną w ocenie naszej działalności na uchodźstwie, a zwłaszcza w ocenie składu rządu i jego posunięć. Przykre to uczucie, pozostawać w niezgodzie z „Świtem”, a przecież zdarza się, że poddaje w wątpliwość jego wypowiedzi, choć wiem doskonale, że „Świt”, patrząc z dalekiej, jak dalekiej, perspektywy, orientuje się grubo lepiej, niż publicysta, siedzący w Londynie. „Może ktoś uzna to za brak patriotyzmu z mej strony, wolalbym jednak, aby zredukowano pewne audycje tej tajnej radiostacji krajowej, oraz ograniczono program do konkretnych wiadomości, z wyłączeniem sądów i pochwał personalnej natury.

Oraz, naodwrot, wolalbym, aby nasz rząd nie szermował przy lada okazji Krajem, nie brał jego imienia nadaremno i nie odsłaniał kulis walki podziemnej, ponieważ rewelacje rządowe często kosztują Kraj niezmierne wiele, odbijając się w postaci represji ze strony Niemców. Było tak niedawno, gdy w sposób niebaczny — oraz tani, tu, w Londynie, a bardzo drogi, jeśli idzie o Kraj — uwydatniono sobotę, obecnie zaś według wiadomości, nadchodzących ze Wschodu, ustawienie i trochę nabalne powołanie się na „reprezentację krajową” spowodowało wiele aresztowań, ponieważ Niemcy pragną koniecznie owa reprezentację wykryć. Przyszła nadto, oby fałszywa, pogłoska o śmierci jednej z postaci kierowniczych. Rozumiemy, że rząd od czasu do czasu musi świadczyć się Krajem, ale przecież byłoby wskazane zachować jakie oszczędność, umiar i ostrożność. To samo dotyczy wspomnianego „Świtu”.

Trzeba cenić te wysiłki naszej oficjalnej propagandy, które mają na celu przekonać nas, jakoby rząd był bliższy Kraju a Kraj rządowi, niemniej napróżek tym wysiłkom, jakoby przybrał w ostatnich czasach, tak ospały do niedawna, Blitzkrieg, wydawać się nam może chwilami, że jesteśmy coraz dalej od Kraju. Ponadto, chwytając nas obawa, że coraz trudniej będzie nam zrozumieć się z Krajem. Cztery lata robią swoją. Cztery lata, dla ludzi tłuste i bezpieczne, dla innych tragicznie chude i tragicznie krwawe. Amortyzacja długu, zaciąganie przez uchodźstwo wobec Kraju, postępując leniwie, czas natomiast leci, toteż czy globalnie przemyślemy, że trzeba się liczyć z jakąś piatiletką pielgrzymstwa, włosy nam staną na głowie, porwane zimnym podmuchem strachu.

Pomyśleć sobie musimy: jakże tam wracać? Z czym? Co Oni powiedzą? Jakże padną pytania? Co zadeklarujemy na ele? Jakich żądać będą paszportów, jakich wjazdowych, tam, na granicy, u której pragniemy kłęknąć, ucałować ziemię, i bezwzględnie rozspisać wybory — powiedzmy, po cóż to nas tu kosztuje — sześciopiętnastokrotnie.

Chwila osobliwa, o której każdy z nas we śnie i na jawie marzy, nabiera dzisiaj innych aspektów. Coprawda, pewnie jed-

nostki niepokoją się zbyt często na zapas, ponieważ ze strony oficjalnej padają składane półgłębkiem zapewnienia, że nie należy martwić się a priori. Niektóre typy, szczególnie źle widziane, paszportów nie dostaną, aby nie zatruwać atmosfery w przyszłej demokratycznej i ludowej Polsce, gdzie władza będzie tylko w rękach warstw pracujących. Pod względem utrudnień wizowych nasze czynniki oficjalne trzymają się pragną konsekwentnie linii, którą obrały już we wrześniu 1939 r. wobec uchodźców polskich, skupionych i powoli wymierających na Węgrzech czy w Rumunii. Zmarowało się tam wielu ludzi, którzy teraz mogliby przydać się bardzo, a to choćby wobec braku sił urzędniczych i maszynistek. To samo, mutatis mutandis, choć w mniejszym zakresie, usiłowało stosować do Polaków, zesłanych w głąb Rosji, i tam bowiem znalazło się musiało jakieś subtelne sito czy klucz partijny. Lecz polityka ta świeciła największe tryumfy na Węgrzech i w Rumunii, słok bowiem o to, by powien kontyngent Polaków zostawić konieczne poza ramami jednoci narodowej i poza marginesem bezpieczeństwa. Pytanie: dać wzięć czy nie dać, byle czemś najwazniejszym. Ba, obiega pogłoska, że jeden z nowych dygnitarzy otrzymał wysoki urząd, ponieważ ma wysokie kwalifikacje, on bowiem szczególnie udermił ucieczkę ministra Becka.

I jakże tak zdolnego, tak idealnego, tak zasłużonego człowieka pominąć przy rozdziale wakansów? Lecz mniejsza o poszczególne wypadki, skoro rzeczą prawdziwie ważną jest konsekwentne utrzymanie przez rząd tej polityki wizowej, w której myśl wypuszczano tylko pewnych ludzi na teren francuski czy angielski, przyczem raz było to nie tylko jak najdalej ideą konsekwencji ale nawet Kohn...sekwencja. To samo musi być utrzymanie tak i na przyszłość w stosunku do kandydatów, którzy zgłoszą chęć powrotu do Kraju.

Piatiletka pielgrzymstwa? A może, może ...czterolatka tylko? Może doświadczenie minionej, „wielkiej”, wojny uczy, że wytrzymałość ludzka nie zdola przekroczyć lat czterech? Może sprawa paszportów powrotnych jest bliższa niżby się nam zdawało? Tem dziwnie wygląda początek sporu o wizy, zwłaszcza że wyjazdowych udziału nam chętnie gospodarze, jeśli zaś idzie o wjazdowe, niewiadomo jeszcze, kto je będzie wydawał i kto honorował. Może za decyduję sam Kraj, ludzie, którzy tam pozostali.

Powien dyplomata belgijski oświadczyć niedawno w prywatnej, dyskretniej rozmowie, że on sam nie ma zamiaru wracać do Belgii wcześniej, niż dopiero w dwa tygodnie po umożliwieniu powrotu. Postanowił poczekać bodaj dwa tygodnie. No, dyplomata musi być ostrożny. To pewna, że Europa, czego przedsmak słaby dają nam już dziś Włochy, przedstawia się będzie jak podłoga olbrzymiej, totalnej jatki. Jeśli tamta, filantropia, łagodna, biała jak śnieg, serdeczna wojna wywołała wstrząsy ogromne, jakież będą one po tej wojnie? Jeśli Belg postanawia wstrzymać się chwilowo z powrotem do ojczyzny, my — zwłaszcza po ostatnim oświadczeniu rosyjskim, domagając się współdziału Sowietów przy

porządkowaniu stosunków we...Włoszech — musimy powiedzieć sobie jasno i otwarcie, że żaden z nas nawet marzyć nie może o powrocie w wypadku, gdyby w Polsce miał powstać wschodni „nowy ład”.

Powrót... Rząd dzisiejszy nie jest warunkowo rządem powrotu, przedstawia on raczej jakieś prowizorium, które ma przed sobą najwyżej dwa, trzy miesiące. Zresztą już tydzień temu przesilenie wiało na nitec od kłębka — zaiste — nie Arjadny. Ten rząd, jeśli idzie o jego poziom, przedstawic może tylko jedno usprawiedliwienie: odpowiada ogólnemu upadkowi kultury, jaki objął całe uchodźstwo. Lecz zarazem jest on tego obniżenia wyrazem najbardziej plastycznym, jaskrawym. Jest on nie na poziomie wielkości Kraju. To załedwie jakaś gmina zbiorowa, na której gruncie dochodzą do głosu ambicje i żarłoczenie apetyty. Ani śladu walki ideowej, brak zupełny ścierania się jakichś poglądów na świat, czy, nawet jakbyśmy powiedzieli według terminu, używanego podczas wielkiej wojny — orientacji. Wszystko bez reszty wypełniaja personalia. Wśród plew gadani, oświadczeń, mów przedstawicieli partji, pojawia się często hasło: zwycięstwo warstwy pracującej, skoro tylko wrócimy do Kraju. Władza tylko w rękach tej warstwy...

Brzmi to paradoksalnie, ponieważ na utrzymanie biologiczne Kraju, na zachowanie Jego honoru, na opór wobec wroga pracują tam wszystkie warstwy, pośród nich zaś najojęciej doświadczana jest ta, o której w Londynie najbardziej jest ta: warstwa inteligencji, poddanej przesładowaniom bezwarunkowo najbardziej srogim, tepiona konsekwentnie od pierwszych dni okupacji przez obu okupantów (80% wzięniów w obozach koncentracyjnych, to właśnie inteligencja). Wogóle nie przesadzajmy z tą warstwą pracującą! Polska była krajem biednym, gdzie ludzi niepracujących policzyć można było dość łatwo. A w przyszłej skrawioniej, obrabowanej ze wszystkiego Polsce, pracować będzie musiał każdy obywatel, każdy bez wyjątku.

Rząd dzisiejszy, rząd jednoci narodowej, zwalczający jednoci siły zbrojnej zapomocą wszelkich dostępnych środków, nie jest rządem powrotu. Jest raczej wszystkim innym, tylko nie elementem zjednoczenia różnorodnych sił, jakie jeszcze posiada uchodźstwo. Pośród zupełnie młodych amatorów sztuki rządzenia, pośród debutantów, trafiają się w tych sferach uprzywielejanym jednostki zgrane do nitki, takie, które przeszłyby niezmienne szeroka gamę, od socjalizmu aż do np. narodowej demokracji, tuż przed tą wojną kandydowały z „Ozomu” do... rady miejskiej we Lwowie. I upadły przy wyborach do rady miejskiej, śmiało wysuwają swą kandydaturę na najwyższe godności, aż do urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej własnemu.

Rząd, napróżek emnucjajom „Świtu”, złożony jest z elementów niezharmonizowanych a skłonnych do wzajemnego pożarcia się z kostkami. Zobaczymy to jeszcze, zobaczymy! Pewne kola rządowe uprawiają w dalszym ciągu — napróżek bolesnemu upomnieniu, które wyszło od czynnika najwyższego — politykę na wynos. Obsługują nadal prasę tubylczą, materiałami wybuchowymi, których zadaniem jest zburzyć fundament konstytucji. A właśnie dzięki tej konstytucji uratowana została państwowość nasza wbrew klęsce wrześniowej. Gdyby tylko nie było tak prerażliwie samoty, moglibyśmy śmiać się, patrząc na spektakl, jaki daje nam zespół „Chat Noir”. Niestety, spektakl nie należy do wesołych, widzimy bowiem, że ludzie, którzy jako reprezentantów państwa, nie umiają myśleć kategorjami państwowymi. Ciągłe dąży się im, że to jakieś wybory na sekretarza np. „Bratniej Pomocy” w uniwersytecie. Związany ponadto, że dotychczasowy minister wojny domowej śniało czego po drugą tekę, mianowicie po tekę... de la destruction publique. Jakimże mistrzem okazuje się w tych sprawach!

A przecież w tym londyńskim upale, w gorące ostatnich, np. włoskich wydarzeń, zdaje się nam chwilowo, jakoby nasz, wydławany po dach, autobus miał ruszyć, jakoby już, już, miało się tak słyszeć hasło: „Hold tight!”. Może to tylko złudzenie? Może to nasza emigracyjna arka, w której wszelkiego stworzenia jest więcej niż po dwóch, może to arkę bożka wojny, tuż będą jeszcze długo fala, potopi, zanim wyrzucą ją na brzeg ojczyzny. Ale gdyby, powtarzając, „gdyby”, bliżej było końca wędrówki, niż się jestymistom wydaje? „Hold tight!” — Jesteśmy wszyscy jednym wielkim zaprzeczeniem tego hasła, jakie pada zazwyczaj, gdy autobus ma ruszyć. Nie trzymamy się. Idziemy luzem, każdy osobno, każdy inną drogą, z wyjątkiem tej nielicznej grupy ludzi, którzy mają w kieszeni tajemnicze, nigdy nieprzejawione, mandaty z Kraju, dające im rzekomo prawo przemawiania w imieniu ginących milionów. Ta gromadka akcjonariuszów pseudoności narodowej trzyma się ściśle kupy, idzie rąkoma w rękę, kroci matmami, zatem cała emigracja polska, rozsyta luzem, rozbita na poszczególne atomy, choć pod jednym względem złączona. Mianowicie złączona obójnością w stosunku do klasy rządzącej, do oligarchów, do elity wrześniowej, która wyruszyła szlakiem kadrowki załasczyckiej. W tej obójności wyraża się powiem sybarytizm, wyznawanie zasady „laissez faire”, a przecież wiemy wszyscy doskonale, że owa kadrowka naprawdę nikogo nie reprezentuje.

Ze wisi w absolutnej próżni.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

Cytowane trzykrotnie w artykule moim „Polityka na wynos” („Wiadomości Polskie”, nr. 177) słowa Prezydenta Rzeczypospolitej brzmiały: „... nie dopuszczalne metody wynoszenia poza grunt polski naszych spraw wewnętrznych — i do tego w świetle fałszywym i z niskimi intencjami” (nie „insynuacjami”, jak — łagodnie — podałem).

Z.N.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

GŁOSY WARSZAWY

I
Ciekawie pytasz, przyjacieli,
czy jeszcze wśród wojennej wrzawy,
wśród trzasku bomb, wśród syren wielu,
pamiętam dawny głos Warszawy.

Nie głos to jeden był — ślusłowy,
skaczące zwawo po ulicy
i świdrujące się w niebiosy
z podwórza każdej kamienicy.

Choć z dysonansów ta kapela,
lecz wtór się z niej przedziwnie motał
pod prym Litwośa, Prusa, Ela,
Gomulickiego i Or-Oła.

Złaczona w orkiestrowym splocie
od klawecynu do harmonij,
z Grochowa biegła ku Ochocie,
a z Mokotowa do Kanonij.

Z tramwajów, jezdm, drynd, chodników
dotychczas mi się wciąż uśmiecha
aforyzmaty uliczników
i łobuzerska gwarą Wiecha.

Bo chociaż rzecz to niepojęta,
po latach, z ukołanej teary,
częściej się drobny skwarc pamięta,
niż to co teary poważa darzy.

II
Promienie skośne, słup tanczący,
ku oknu tużem ledwo zbiega,
już słychać głos przenikający:
„Pia...bia...białego, wiślanego!”

I budzi cię ten głos z uśpienia...
— Wtręszona Wisła między łachy,
a z słonecznego światłocienia
przez wylegają ciepłe piachy.

Już i głos drugi: „Raki, raki!”
— tę wodną prawdę ci potwierdza,
węc się podrywa jakitaki,
i snu kapituluje łewterdza.

Po młogocętej srebrnem wodzie,
gdzie drżący sen się z jawa spleta,
poniesie kajak ku przegrodzie
niefrasobliwe młode lata.

Nim ci roztrząska szczęście młode
czyjaś okrutna pięść zdradziecko,
to śległy sobie przez tę wodę
tak lirnikowo-mazowiecko.

Bacz, by mirjadem ci opali
za każdym razem wioślo trysło,
bo kiedyś łna się zapali
nad tą rozkosznie senną Wisłą.

III
Wróciłeś — z innej już parafji
słyszysz handlową propagandę.
Kto, jak warszawski Żyd, potrafił
skandować rzewnie: „Handel, handel!”

W pięć minut potem, drugi Ajaks
wywodzi żadośliwe pienia:
„Sklijam szkło, porce-lame, fajans!
Lampy, wazony — do skłębienia!”

Jeden i drugi — bzdury, brzydki,
tście „krajowy cudzoziemiec”
Lecz już nie powiesz o nich: „Żydki,
odkąd ich w tragizm wdeptał Niemiec.”

IV
W tych czasach, kiedy go nie ploszył
w śnie koszarak skoni osób drogich,
warszawiak za dwadzieścia groszy
namiętnie czytał nekrologi.

Hiszpanja... Chiny... Wojna gorze...
„Warszawski”, „Ikar” lub „Poranny” —
głos obok: „Panie dyrektorze,
proszę bukietek wziąć dla panny!”

„Krawaty nowe po dwa złote,
jedwabne, proszę tu do bramy!”

Szczecioba płaki niewzięte,
trzepocą ci na bruku krawawym —
i w nieprzerwane pismo święte
podziemny rośnie głos Warszaw.

Jerzemu i Marji Ponikiewskim

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

Przyjmują wszelkie prace maszynowe oraz tłumaczenia w językach obcych. Tel.: ABB 1623 od godz. 12-13 i od godz. 18. Pismennie do: Carlton Berry Co. H.K. Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2

MINISTERSTWO WYŻNAN RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO
Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1.
zawładania o wydaniu książki:
SZOBER, NIEWIADOMSKA i BOGUCKA
NAUKA PISOWNI WE WZORACH I ĆWICZENIACH
str. 61 Podrecznik dla kl. VI szkoły powszechnej cena 2/-
Do nabycia w polich księgarniach i księgach Skład główny: Polish Books Depot, 1, Atholl Place, Edinburgh

H. I. LUBIENSKI

zdjęcia autora

AFRYKA W LATACH 1941-1942

BAROMETR TANGIERSKI

„Vilho d'Oran” miał za chwilę podnieść kotwicę i odpląnąć z portu marsylskiego do Afryki. Służba okrętowa rozniósła oddawna do kajut walizki i kufry podróżnych. Po raz nie wiem który zbadano dokumenty osobiste. Chwila roztania się z Francją na deszcz. Patrzyliśmy na zniszczony już dzisiaj przez Niemców Vieux Port, tak mały że każdy statek wydaje się w nim olbrzym, na malowniczą Corniche, na zameczek Chateau d'If. Piekny pejzaż w kolorach Cézanne'a, którego nie zobaczymy na drugim brzegu morza Śródziemnego, gdzie światło będzie ostro i koloru jaskrawe.

A statek nie odpływał, chociaż dawno minęła godzina odjazdu. Znicieripliwienie malowało się na twarzach marynarzy, nikt nie miał ochoty nie chciał powiedzieć, dlaczego nie ruszamy w drogę.

Wtem u wejścia na kładkę okrętową, policjanci stanęli na baczność. Na pokład wniesiono etel i krzesła i równocześnie weszło kilku panów. Przedstawiciele Gestapo i Ovry przybyli, aby dokonać jeszcze jednej kontroli, od której ostatecznie miało zależeć, kto pojedzie, a kto będzie musiał pozostać.

Nieraz zdarzały się wypadki, że ze statku zabierano pasażerów i wędrowali wówczas zupełnie gdzieś indziej, niż zamierzali. Niemcy odcieśli Afrykę od metropolii i z każdym miesiącem zaostrzały kontrole. Tu, wzdłuż wybrzeża południowej Francji, biegła druga linia demarkacyjna, chociaż nie można jej było znaleźć na mapie.

Dlatego w praktyce wjazd do Afryki Północnej był możliwy tylko drogą nielegalną. Ta droga, którą przeszły setki żołnierzy i oficerów polskich. Kiedyś, przed wielu laty, młodzież polska spieszyła do legionów Dąbrowskiego. Ale czemże było przejście Alp w porównaniu z tulazką żołnierza i oficera polskiego poprzez porty francuskie i obozy afrykańskie lub hiszpańskie do odległej Szkocji?

Vichy w gruncie rzeczy dogadzała politykę niemiecką. Vichy bało się, by narastająca z każdym dniem we Francji opozycja nie znalazła oparcia w Afryce. Każdy rząd słaby woli, gdy obywatele nie podróżują zbyt dużo, a jeśli już mają podróżować, to raczej na rachunek rządu.

Od strony zachodniej Afrykę francuska zamykała kordon wlości. Od południa — Sahara, od wschodu — ocean, od północy — Maroko hiszpańskie, przez które przejeżdżał prawie nie do uzyskania bez posiadania wizy docelowej. Lecz w tej Afryce, otwartej namiętności dla Niemców i Włochów i tak zizolowanej od reszty świata, pozostały niemieckie drzwi dla... Amerykanów.

Od czerwca 1940 r. do dn. 8 listopada 1942 r. wola była drogą między Casablanką i Tangierem dla amerykańskich dyplomatów, wojskowych, nawet generałów, specjalnych wysłanników Waszyngtonu, i dla regularnej walizy dyplomatycznej. Warunkiem istotnym powodzenia całej działalności amerykańskiej w Afryce Północnej było utrzymanie otwartych drzwi blisko dwa lata. Cała aktywność Anglosasów szła przez Lizbonę — Tangier — Algier, nie przez Vichy — Algier. Gdy przedstawiciel Stanów wsiadał w Tangierze do samolotu, lub do pociągu do Casablanki, regularnie raz w tygodniu i czasem i częściej, oznaczało to, że stosunki Leahy — Pétain są dobre, że intrzygi niemieckie w Madrycie nie nie wskórały. Na giełdzie tangierskiej półna dyktowała kursy walut w całej Afryce Północnej, frank był wtedy mocniejszy.

Gdy powstały trudności w swobodnym poruszaniu się Amerykanów między Tangierem a Casablanką, oznaczało to, że między Vichy a Waszyngtonem coś się psuje, że nacisk niemiecki wzrasta, i frank spadał. W Tangierze był barometr zapowiadający deszcz i pogodę nie tylko w Afryce, lecz i w Europie. I tu między Tangierem i Casablanką przygotowany został desant listopadowy. Tangier był wielką salą konferencyjną Anglosasów i równocześnie stolicą włoskich i niemieckich szpiegów.

Jak żrezną była polityka Roosevelta w stosunku do Vichy, mogliśmy to stwierdzić w otwartych drzwiach, wiodących do serca Afryki Północnej — Algieru.

Każda operacja wojenna musi być przygotowana dyplomatycznie. Nie tylko generałowie wygrywały bitwy. Czy Moltke byłby zwycięzcą Austrii pod Sadową, a Francji pod Sedanem, bez przygotowania dyplomatycznego Bismarcka? Czy Eisenhower wyrzuciłby tak szybko Niemców z Afryki i opomógł ogromną polać czarnego kontynentu, gdyby nie dyplomacja Roosevelta? Sukcesy, jakie Roosevelt osiągnął w swej polityce francuskiej, powinny go zachęcić nadal do prowadzenia podobnej polityki w przyszłości.

STATYSTYKI

Gorące dni lata r. 1941 pełne były doniosłych wydarzeń politycznych w Afryce Północnej. Delegat rządu Vichy na Afrykę, naczelny dowódca sił francuskich w Afryce, gen. Weygand, został mianowany przez marszałka Pétain gubernatorem Algieru. Nikt nie żałował odeszłego admirała Abriela, który, podobnie jak wielu innych admirałów Darłana, okazał się nieocieczą w polityce a wielkością głównie przy kieliszku.

Lipiec. Weygand stoi na krugankowym balkonie zimowego pałacu gubernatora. Tłumy arabskie defilują przed nowym władcą, wrzeszcząc i wiwatując. Weygand odpowiada Arabom: „Ma politique sera bienveillante et juste”. W kilka dni później ukazuje się po raz pierwszy w prasie afrykańskiej komunikat o rozstrzelaniu dwóch osób narodowości francuskiej, za pracę na rzecz jednego z obojch mocarstw. W hotelu Aletti, siedzibie komisji włosko-niemieckiej, twarze stają się pochmurne, chociaż dni są słoneczne. Wiadomo również, iż Weygand powiedział p. Murphy, że nie będzie tolerował propagandy gaullistowskiej. Delegat Polskiego Czerwonego Krzyża, a faktycznie delegat rządu polskiego w Afryce, hr. Hutten-Czapicki, otrzymał z ust generała zapewnienie o życzliwości władz, a jednocześnie dano mu do zrozumienia, że współdziałanie z gaullistami pociągnie za sobą najsurowsze sankcje. Od czasu zawieszenia broni, po raz pierwszy armia zaczyna defilować na ulicach Algieru, Casablanki i Tunisu. Lecz to wszystko są wypadki dnia, które widzimy, gdy Weygand zostanie zmuszony do dymisji przez Berlin, dojdzie do pierwszego wielkiego starcia.

Zanim jednak przedstawimy rozwój tej walki, trzeba powiedzieć kilka słów o samym teatrze walki. Zajmujemy się dekoracją, dekoracją żywej, którą w każdym teatrze stanowią statyści. Niech w tym obrazie nie zabraknie żadnych szczegółów.

Jules Cambon, późniejszy ambasador

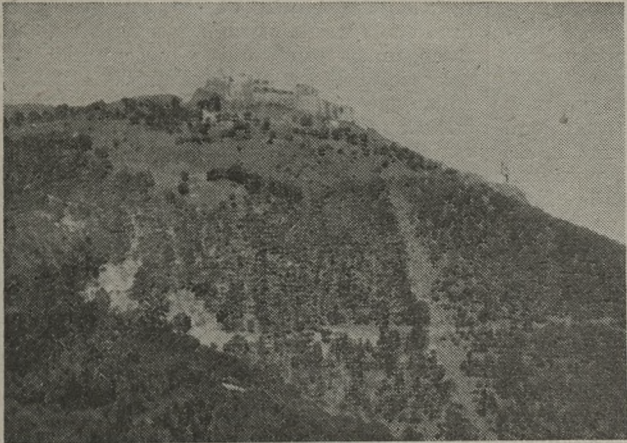
Francji w Berlinie, gdy był gubernatorem Algieru, w czasie swych wędrowek wdawał się w rozmowy ze spotkanymi Arabami. Pewnego dnia zapytał jakiegoś starego Araba, co myśli o Francuzach. Staruszek, nie wiedząc prawdopodobnie, że ma przed sobą przedstawiciela władzy, odpowiedział z niezwykłą szczerością: „Jesteście podobni do Rumi (Rzymianin), gdyż tak jak oni budujecie drogi, by później nimi odejść”. Powiedzenie to ukazuje stosunek ludności tubylczej (berbero-arabskiej) do Francji. Lekceważenie dzieła kolonizacyjnego Francji, przekonanie, że régime francuski jest tak samo przejściowy, jak poprzednie, nadzieja, że zniknie. Antagonizm francusko-arabski jest właściwie europejsko-arabski, wynika z różnic religijnych i rasowych. Niestety, trzeba powiedzieć, że jest to los każdego régime'u europejskiego w koloniach.

Gdy w r. 1940 przyszła klęska, gdy wielki kiedyś autorytet błękitnego kepi wśród tłumów mahometańskich osłabił, odzyskał wiarę, że oto zbliża się koniec jeszcze jednego najazdu przeszło stuletniego. Masy arabskie oczekiwały przyścia Niemców. Z prawdziwie wschodnim determinizmem i kultem dla siły, uważały, że nie może oprzeć się tej imponującej potędze. A niejednemu zdawało się, że chwila zmiany régime'u

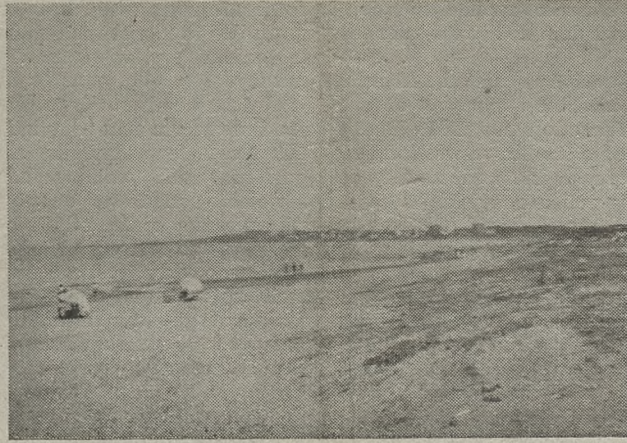
niż dla Europejczyków. Niema już oddzielnych wagonów kolejowych czy tramwajowych, Arabowie „sément leur poux” nawet i w pierwszej klasie. W życiu codziennym z przedpokojem przechodzą do salonu. Urzędnicy są dla nich mili i uprzejmi. Poblaziłość władz wyraża się szczególnie w cichym uznaniu dynamicznego czarnego rynku. To jest najlepszą miarą życzliwości dla świata arabskiego. „Enrichissez-vous, chers musulmans, profitez!” Ale gdy kto bawił się w niedowolną agitację, szedł do obozu. A więc do wyboru: albo plasterek miodu, albo kij. Na takich zasadach oparła się polityka francuska, i w ciągu dwu lat nie zmieniła się w Afryce. Gdy przyjdzie 8 listopada, Arabowie odegrają tylko rolę gapiów. Wylegna masami ze swych brudnych nor i w milczeniu patrząc będą na zmotoryzowane kolumny angielsko-amerykańskie. Pierwszą zacyzną handlować i oszukiwać żołnierzy amerykańskich i kłaniać się nowym panom. Allah wołał Roosevelta i Churchilla od Hitlera i Mussoliniego. Arabowie na scenie życia narodów wybrali rolę statystów. W teatrze statyści są zawsze najgorzej płatni.

GOSPODARZE

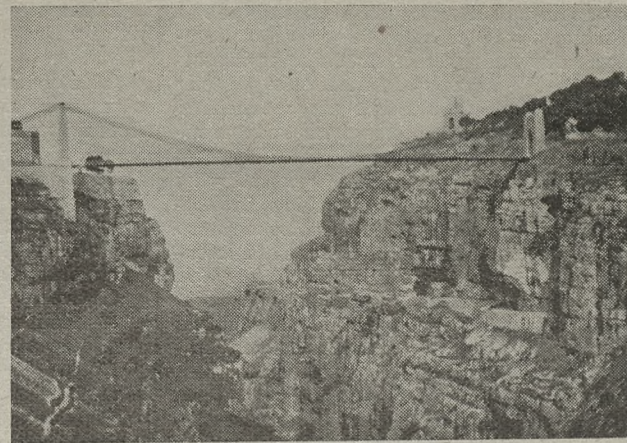
Trzy czynniki odgrywały w administracji



Fort i kapliczka Santa Cruz nad Oranem



Plaża w Sidi-Ferruch, gdzie Francuzi wylądowali w w. XIX, a Amerykanie w w. XX



Most wiszący nad wąwozem w Constatnine

będzie równocześnie godziną zemsty i porachunków z dotychczasowymi gospodarzami. Najbardziej proniemiecki był Tunis, najmniej Maroko. W Tunisie był kupiony przez Włochów. Na stosunek do Anglii ogromny wpływ miał Egipt. Antyangielskie nastroje w Egipcie znajdowały zawsze echo po stronie francuskiej. W Algierze, na rue de la Lyre, uliczy sprzedawcy rozkładają swe okropne bohomyzy. Nigdy nie widziałem wśród tych obrazów portretu beya czy sultana, ale zawsze był król Faruk, Egipt ze swym królem, ministrami, dyplomata, jest dla ludności najwyższym ideałem państwowym, a Egipcjanie wydają się francuskim Arabom prawdziwymi meżami stanu, od których zresztą czerpią swą wiedzę polityczną. Stany Zjednoczone, były dla masy arabskiej cieniem zupełnie egzotycznym. Stany były nieznane, znany był dolar w Maroku i samochód amerykański. W ekspansji Stanów prestige dolara i agencji handlowy wyprzedziły ambasadorów i armię.

Nie tylko radio Paryż i radio Bari codziennie mówiły ludności muzułmańskiej o wielkości Niemiec. Tak samo radio Algier, Maroko, Tunis, zapewniały że zwycięzcy mogą być jedynie państwa osi. To samo powtarzała codziennie cała prasa francuska. Jakże więc ciemny Arab nie miał uwierzyć? Toteż gdy na ekranie pojawiał się Hitler, rozlegały się brawa. Portrety generałów niemieckich wycinano z pisma „Signal”, które cieszyło się wśród mahometan ogromnym powodzeniem. Przywódcy arabscy byli pozbawieni odwagi cywilnej. Wobec władz francuskich udawali lojalność, a w rzeczywistości szli za Niemcami. Ci zaś, którzy mieli odwagę i mogli być niebezpieczni, zaraz po zawieszeniu broni powędrowali do obozów koncentracyjnych. Oczywiście, te nastroje ułatwiały ogromnie prace komisjom włosko-niemieckim w Afryce Północnej. Pamiętam, jak w r. 1942 Vichy ogłosiło tryumfalny komunikat o zwolnieniu przez Niemców 15 000 jeńców Arabów. W Algierze władze uroczyste witały powracających. A równocześnie w policji odbywały się konferencje jak unieszkodliwić te tysiące nowych szpiegów, które w obozach niemieckich przeszły specjalne przeszkolenie antyfrancuskie. Między Gestapo a patrijotyczną częścią policji francuskiej toczyła się zacięta i cicha walka. Zdarzało się, że niemieccy agenci placili zyciem za nieostrożność. Energia administracji i brutalność policji była konieczna, gdyż tylko postrachem można działać skutecznie na Arabów.

Lecz Niemcy, jeśli chcą mieć po swej stronie Arabów, jeśli nie szczędzą im słów sympatii i współczucia, to jednak dalecy są od opowiadania się do ostateczności. Nie biorą na serio ani rewindykacji arabskich, ani — co jeszcze ważniejsze — nie myślą o rozdaniu Arabom broni. A o tem właśnie marzą skrycie zwynawcy Mahometa, i ci z Kaszy, i ci z oaz, i fellahowie, i zeuropeizowany proletarijatek miejski. Świat arabski, przeżarty od Abd-el-Kaderze jeszcze nie wygasł, wspomnienia o Abd-el-Krimie są jeszcze świeże. Ale do każdej wojny trzeba broni. Zawieszenie broni, zachowując armię francuską w Afryce, zagwarantowało Francji przewagę nad ludnością tubylczą. Niemcom, którym administracja francuska jest powolna, ten stan rzeczy odpowiada. W każdej chwili mogą bowiem wystąpić jako arbitrowi i naruszyć równowagę sił. Narazie zaś chcą mieć spokój i porządek na tyłach armii Rommla. Najważniejsze jest dla nich, ażeby otrzymać jak najwięcej wytworów afrykańskich. Zboże, oliwa, wino, alkohol, owoce, jaryżny, wełna, banany, fosfaty i rudy, wszystkiego tego Afryka musi dostarczać regularnie w jak największych ilościach. Niemcy nie chcą by cokolwiek osłabiło proces wytwórczości. Nie interwjują nawet o wypuszczenie z obozów prosiowych przywódców arabskich... Posługują się Arabami, ale narazie powstrzymują się od prowadzenia określonej polityki.

Vichy również, za wszelką cenę unika, jakichkolwiek istotnych koncesji lub zobowiązań. Zato coraz więcej u gubernatora i rezydentów przyjeżdża do Arabów, coraz więcej orderów, coraz więcej subwencji, lapówek, coraz więcej parad i uroczystości i manifestacji przyjaźni „avec les chers frères musulmans”. Większe raje cukru, kawy, herbaty, oliwy, kaszy dla tubylców,

w Afryce rolę decydującą. Biurokracja, właściciele winnic i ziemi (tzw. „colons”) i Żydzi. Rewolucja narodowa polegała na zniesieniu wszelkiego samorządu i scentralizowaniu władzy. Dlatego też i wpływ administracji, zawsze bardzo wielki w Afryce, wzrósł jeszcze bardziej. A więc najpierw kilka słów o wielkich szefach administracji. Chatel, gubernator Algieru, zawdzięczał swoje stanowisko gen. Weygand. Należał do obozu zajadłych antylawalistów. Lecz gdy w maju 1942 r. Laval powrócił do rządów, Chatel był pierwszym przedstawicielem administracji afrykańskiej, który wysłał depeszę holdowniczą. Gdy sprzymierzni wy-



Czołgi amerykańskie w Oranie (12 listopada 1942)

lądowali w Afryce, Chatel znajdował się w Vichy. Dn. 9 listopada lądował na lotnisku Ain-Arnat pod Setif, zlorzeżył gen. Giraud, jedzie do Constantine, zwołuje konferencję, ustala plan obrony departamentu Constantine, daje niedwuznacznie do zrozumienia, że potrzebny byłby pogrom ludności żydowskiej przez Arabów, i wydaje plomienną odezwę, wzywającą do oporu i do walki ze sprzymierzonymi. Lecz w dwa dni później Chatel jest już w Algierze. Składa wizytę gen. Giraud, admirałowi Darlan, melduje się u p. Murphy i wydaje nową odezwę wzywającą do poparcia sprzymierzonych i walki z Niemcami. Chatel będzie, jak Cygan, świadczył się p. Murphy, a gdy przyjdzie do niego szef Parti Populaire Français, zaprzędną Gestapo, odda mu raport, który przygotowała mu jego własna policja o projektowaniu przez P.P.F. zamachu stanu. Weygand popełnił wielki błąd, wysuwając Chatela, gdyż dał to Chatelowi w kołach proaljeńskich kredyty, na który bynajmniej nie zasługiwał. Celem Chatela było trwać na posadzie i przetrwać. Chciał się podobać p. Murphy, a bał się Abetzta. Przykład Weyganda nauczył go, że można dostać dymisję na żądanie Abetzta, i dlatego bardziej bał się Vichy. Chatel, który niemal całe życie spędził w koloniach, uchodził za wybitnego znawcę tych zagadnień. Umiął manewrować, ale nie miał nigdzie ani autorytetu, ani szacunku.

Admirał Esteva był człowiekiem skromnym, prostolinijnym, apolitycznym, naiwnym i bigotem. Nie miał za grzech czynizmu Chatela. Lecz dla Estevy każde słowo marszałka Pétain było objawieniem. Człowiek ten, który w gruncie rzeczy żywił nieprzyjazne uczucia dla Włochów i Niemców, musiał przeżywać tragiczne chwile. Wywieziony został przez Niemców w kajdankach, lecz po przyjeździe do Vichy marszałek Pétain tak nań wpłynął, że Esteva wygłosił przemówienie, nawołujące do współpracy. W Tunisie odbiła się fatalnie na rozwoju wypadków nieobecność w chwili lądowania sprzymierzonych, gen. Delatre de Tassigny, który Vichy odwołano, podejrzewając go o nieoilejność. De Tassigny auto pociągający za sobą Estevę, będącego narzeczonym w rękach kolaboracyjnej mafii urzędników, albo by go unieszkodliwić, wsadzając do aresztu. Był to w Afryce właściwie jedyny generał, zdolny do zrobienia zamachu stanu. Niestety, jego następcą, gen. Barre, nie miał już ani tej woli, ani tego autorytetu co jego poprzednik.

Gen. Nogues był niewątpliwie w tej trójce postacią najwybitniejszą. Długoletni współpracownik marszałka Lyautey, ożeniony z córką słynnego ministra Delassé, zajmował przed wojną wysokie stanowiska i należał do kierowniczych sfer trzeciej republiki. To Nogues, stojący na czele armii, zdecydował ostatecznie o stanowisku Afryki po zawieszeniu broni.

Niemcy dali mu jako aniola-stróża jednego z najlepszych swoich szpiegów, konsula Auera.

Nogues kokietował Niemców, Hiszpanów i Amerykanów, a gdyby byli jeszcze murzyni, kokietowałby i czarnych. Chciał się podobać wszystkim, w czym przypominał baletnicę. Miał najlepsze stosunki z ludnością arabską. Odwołanie Weyganda, przeciwko któremu intrygował, stworzyło więcej miejsca dla jego wpływów. Jego zachowanie między 8 a 10 listopada wskazywało na to, że miał wszelkie tendencje do zajęcia „bohater-skiego” stanowiska Chatela. Ostrożniejszy, nie wydał wprawdzie żadnej odezwy, lecz wycofał się z Rabatu do Fezu, zabrał ze sobą całą komisję osi i następnie ułatwił jej ucieczkę do Maroka hiszpańskiego. Za decyzję tę bał się później wzięcie odpowiedzialność, zwalając ją na plk. Herviot. Z całego postępowania Nogues'a ma się wrażenie, że wyładowanie sprzymierzonych go zaskoczyło, a w każdym razie że nie wierzył w to, że sprzymierzni rozporządzali siłami, które zapewniały im natychmiastowy sukces.

Potwierdza ten pogląd rozmowa, która odbyła się o godz. 5 rano z dn. 7 na 8 listopada między Nogues'em a konsulem amerykańskim, który przybył z listem odręcznym od Prezydenta Roosevelta. Nogues bał się przyjąć konsula amerykańskiego, lecz po długich wahaniach zdecydował się przyjąć list i przeczytać. Wkońcu przez

artykuły, wino i chleb, nie uległy racjonalizacji. Spożywczy nie mieli prawie żadnego wpływu na ogólną politykę gospodarczą Afryki, o której decydowali wytwórcy, przedewszystkiem właściciele winnic. Sytuacja Afryki, szczególnie Maroka i Tunisu, nigdy nie była zła żywnościowo. Sytuacja Afryki stawała się katastrofalną spowodowaną brakiem artykułów przemysłowych. Organizacja kolonów miała w swych rękach prasę i silny wpływ na administrację. Polityka Vichy, która odsunęła groźbę wojny i przyniosła wysokie ceny, znajdowała u wielu przedstawicieli tych kół żywe poparcie.

ŻYDZI

Kto był zagrożony natychmiastową zagładą wskutek zawieszenia broni, to Żydzi. Byli oni głęboko i szczerze przywiązani do Francji. Pamiętali, że to Francja w r. 1870 dekretem Crémieux wyprowadziła ich z ghett. Polityka francuska, w stosunku do Arabów dość nierówna w ciągu stu lat, w stosunku do Żydów była od czasu republiki zdecydowanie filosemicka. Żydzi całą siłą popierali interesy Francji, z którą się utożsamiali. Odegrali pierwszorzędą rolę w rozwoju życia gospodarczego Afryki. Antysemityzm Vichy, hamowany początkowo

przez Weyganda, był niebezpieczny dla interesów Francji. Nie tylko pozostawił w Żydów do dzisiaj uczucia rozgorzczenia i nieniechę do Francji, lecz doprowadził również do zbliżenia żydowsko-arabskiego. W okresie prześladowań najbardziej wpływowi przywódcy arabscy występowali w obronę Żydów. Znany jest fakt, że Arabowie nie chcieli dopuścić do ograniczenia praktyki lekarskiej Żydów, gdyż Arab mając do wyboru dwóch lekarzy, francuskiego i żydowskiego, zawsze wybierze lekarza Żyda. Administracja przeciwdziałała porozumieniu żydowsko-arabskiemu, podjudzając antysemityzm w Arabów. Antysemicki program Vichy został częściowo wykonany w Afryce przed 8 listopada, a wprowadzenie żółtej gwiazdy i zamknięcie Żydów w ghetcie było już w przygotowaniu. Żydzi oddali sprawie sprzymierzonych poważne usługi. Stanowili naprawdę znaczny odsetek całego antyniemieckiego ruchu konspiracyjnego, i jeśli mas żydowska była sterroryzowana i lekliwa, to jednak wielu Żydów wykazało w walce dużo odwagi i poświęcenia.

NEO-FRANCUZI OPARCIEM DLA VICHY

Istnieje spór w historii Francji, czy bey algierski uderzył w policzek konsula francuskiego w r. 1830, czy też poprostu spędził całą młodość z nosa, niezręcznym ruchem musnął wachlarzem przedstawiciela Jego Królewskiej Mości Karola X. W każdym razie konsul okazał się dobrym dyplomata. Znał zabobrze intencje swego władcy, uznał gest beya za obrazę Majestatu. I pretekst, potrzebny do przygotowanej oddawna przez Karola X wyprawy, znalazł się na cz. Pierwsi żołnierze francuscy wylądowali w Algierze w tem samym miejscu, na którym w 112 lat później mieli wylądować m.in. także pierwsi żołnierze amerykańscy, t.j. na plaży w Sidi Ferruch. Marszałek Bougeaud, proto typ gen. Giraud, i gen. Eisenhower, studiując wybrzeże, obaj ocenili tak samo wartość tego punktu dla łatwego desantu. Meternich, gdy dowiedział się o wyprawie algierskiej, powiedział: „Francja utrzyma Algier, ale Karol nie utrzyma się na tronie”. Tak też się stało. Francja pozostała w Afryce i dokonała w niej dzieł wspaniałości, na jakie stać tylko wielkie narody. Francuzi z całą służnością mogą dzisiaj pisać, że przewyższyli Żydz. Kolonizacja Algieru miała zupełnie odmienny charakter niż Tunisu lub Maroka. Algier, to jeszcze kolonizacja typu XVIII stulecia. To próba stworzenia, podobnie jak kiedyś w basenie Mississippi, lub nad rzeką św. Wawrzyńca, nowej Francji — tym razem nad brzegami morza Śródziemnego.

W Algierze powstały całe miasta i wsie francuskie. Pamiętam chwile spędzone w malej wiosce St. Marguerite, leżącej na stoku górskim Miliana. Miałem wrażenie, że znajduję się w prowincji. Wnętrze dworu, smak wina, uprzejmość pani domu, wszystko było naprawdę „villie France”. Cały pejzaż stał się francuski. To sady i winnice leżące u naszych stóp, w jesiennych barwach, do złudzenia przypominały prowansalskie krajobrazy. Wiele tysięcy francuskich osadników straciło życie w walkach z Arabami. Miljardy wsiaków w tę ziemię, aby mogli spełnić się marzenia francuskie o nowej Francji. Ale te marzenia, jak wszystkie marzenia w życiu, spełniły się tylko w części. Francji brakło bowiem jednej rzeczy: z biegiem czasu zabrakło krwi. Kolonizacja w Tunisie jest już właściwie tylko formą eksploatacji gospodarczej, niewątpliwie świętej, która dźwignęła ten kraj z upadku, ale jest w małym stopniu osadnictwem i to osadnictwem włosko-francuskim. Maroko, to eksploatacja wielkokapitałistyczna, najspółczesniejszą metodą gospodarowania. W kolonizacji Algieru, osadnik był czynnikiem decydującym. W kolonizacji Tunisu, a szczególnie Maroka — pieniądź.

Francja na dwóch ubogich sąsiadów, których własna ziemia nie może żywić. Masy włoskie i hiszpańskie płynęły i płyną jeszcze ku Afryce bardziej wartkim prądem, niż emigranci francuscy. Krew francuska rozcieńcza się tam stopniowo w tych napływających falach ludzkich włoskich i hiszpańskich. Francja jest areyliberalna. Przez długie czasy uznaje za Francuzów wszystkich przybyszów chcących być Francuzami. W każdej książce francuskiej o Algierze, nawet w każdym przewodniku, można przeczytać słowa zachwytu dla „nowej rasy francuskiej”, t.zw. „neo-Francuzów”. Zdaje się jednak że po tej

wojnie ten entuzjazm osłabnie, gdyż kwestia pochodzenia niewątpliwie zawywała na stosunku Afryki do państw osi.

W roku klęski, w tem społeczeństwie rozpoczyna się proces rozkładowy. Niejednemu Francuzowi pochodzenia włoskiego czy hiszpańskiego wydaje się, że może lepiej zrobić gdyby został Hiszpanem lub Włochem. Niejednemu moralnie już powrócił do ojczystego pochodzenia. Oczywiście, decydujące jest to, że Włochy i Hiszpania znalazły się w obozie niemieckim, wyzyskują ten moment, ażeby podważyć i złamać wielką siłę asymilacyjną Francji. Proniciecka polityka Vichy znajduje najwięcej zwolenników w tych elementach najmniej pewnych narodowo. W Afryce różne organizacje kolaboracyjne, gdzie neo-Francuzi, Włosi i Hiszpanie odgrywały dużą rolę, nie są żadnym bluffem, jak to często było we Francji, gdzie do takich organizacji najczęściej należeli tylko urzędnicy i inwalidzi. Tu wszystkie te organizacje są siłą. W r. 1942 Laval poważnie myśli o ściągnięciu z Afryki do kilku wielkich miast francuskich oddziałów „Légion”, dla utrzymania porządku. W lipcu tegoż roku konsul niemiecki w Algierze przewiduje rozdanie broni Services d'Ordre de Légion. Naczelny inspektor „Légion” Darnaud, na poufnych zebraniach mówi, że we Francji jest źle, ale że Vichy leży na Afrykę. Doriot jest coraz mocniejszy i tak natarczywy i arogancki wobec władz, że w Algierze zarządziło kilkakrotnie pogotowie poliej. I któż strzela do końca do żołnierzy amerykańskich? Czy wojsko? Marynarka? Nie. Właśnie S.O.L., ten francuski S.S., który dobrał się gdzieś indziej do magazynów wojskowych.

NIEPEŁNIONE NADZIEJE WŁOSKIE I HISPANIE

Bainville w ciągu ubiegłej wojny napisał książkę poświęconą Włochom. Był to jeden z aktów propagandy sprzymierzonych w chwili gdy Włochy wahały się jeszcze z przystąpieniem do obozu sprzymierzonych, Bainville zaczął od polemiki z Thiersem i nazwał „une boutade” słowa starego Thiersa, który twierdził, że dwóch zjednoczonych sąsiadów, to dla Francji za dużo. Czas okazał, że Thiers miał rację. Zjednoczenie stało się podstawą imperialistycznych dążeń zarówno Niemiec jak Włoch.

Do tej wojny Włochy przystąpiły przede wszystkim dla zdobycia Nicei, Korsyki, Tunisu i części Algieru. W latach 1940-1942 między Berlinem a Vichy były chwile napięcia, ale były też i chwile flirtu. Natomiast między Rzymem a Vichy nie było nawet sekundy flirtu. Włochy stale domagały się od Berlina wypełnienia swoich zadań, a pewnie i niemieckich obietnic, jeśli nie zobowiązań. Włosi ignorowali Vichy. Niemcy mieli w Vichy liczną reprezentację dziennikarską, mieli konsulat. Włosi ani tego, ani tamtego. Laval i Darlan byli wielokrotnie u Hitlera. U Mussoliniego był tylko raz Darlan. Ale po swym powrocie, Darlan twierdził, że jego podróż do Rzymu była jedną z przyjemniejszych wycieczek turystycznych. Powrócił Lavalą w r. 1942 prasa włoska przyjęła bardzo kwaśno, gdyż oznaczało to wzmożenie sytuacji francuskiej w Berlinie, a tem samem i osłabienie postulatów włoskich.

Włosi traktowali Tunis jako część swego imperium. Pierwszym aktem, włączającym Tunis, było rozbrojenie i częściowe zniszczenie linii Mareth, co potem utrudniło von Arnimowi obronę Tunisu. Włosi mówili wówczas z dumą, że zrobili to samo z linią Maginota w Afryce, co Niemcy we Francji. W wypadku Hiszpanji sytuacja była bardziej skomplikowana. Radio Melilla (Maroko hiszpańskie) w ciągu dwóch lat powtarzało ciągle te same słowa: „Oranja jest ziemią hiszpańską”. W Walencji, w Kartaginie i w innych miastach hiszpańskich rozdawano na ulicach odznaki, na których z jednej strony był napis: „Eviva España”, a z drugiej — herb miasta Oranu. W kościołach Oranu, księża mówili po hiszpańsku, nawołując do powstania. „Falanga” w Oranji była zorganizowana jak w Hiszpanji. Pięta kolumna była gotowa. W Oranie, gdziekolwiek podniesiesz głowę, zawsze zobaczysz nad sobą stary fort Santa Cruz, przy nim małą kapliczkę. Wspomnienia dawnego panowania Hiszpanji: miecz i krzyż. Na wybrzeżu afrykańskim, między Casablanką a Tunisem, widok z tej kapliczki jest jeden z najpiękniejszych. U stóp niebieskiej fali morza, w tym pogodnie majacząca szczyt senniejszy Sierra Nevada, na zachód ogromna zatoka Mers El Kébir, na wschód słynne, kolorowe falaisies (skały nadbrzeżne) Oranu i miasta. Stąd, z tego wzgórza, jak wieść gminna niesie, będzie można zobaczyć pancerny dywizję hiszpańską, a może i niemieckie, które ruiną z Maroka hiszpańskiego. Ileż to takich alarmujących wieści obiegło całą Afrykę Północną!

Alle program ekspansji hiszpańskiej w Afryce nie ogranicza się do Oranji. Kto wie, czy Maroko francuskie nie stanowi ważniejszej pozycji. Hiszpanie uważają ten kraj za naturalny spherz swojej ojczyzny. A cóż może być ważniejszego dla kraju, który ma w Europie najniższe racje chlebowe, niż niezależnienie się od dostaw zagranicy? Granica Maroka hiszpańskiego i francuskiego, to granica czarnego i białego chleba. A jednak ani w r. 1940, ani w r. 1942, Hiszpania nie ujawnia żadnej inicjatywy zabarowej (jedynie w Tangierze Hiszpania wyprowadziła swoją policję). Hiszpania nie korzysta z osłabienia Francji, chociaż niewątpliwie Franco i „Falanga” są przez długi czas przekonani, że Niemcy wygrają wojnę. Hiszpanie starają się wysondować na drodze dyplomatycznej stanowisko obu stron walczących. Ale Franco z tych rozmów zdaje się wyciągać wnioski, że nie będzie mógł zachować pozycji neutralnej, jeśli zechce realizować program afrykański. Hiszpania musiałaby zdecydować się na wybór jednej albo drugiej strony wojny, t.zn. na wojnę. A to dla kraju, tak straszliwie zniszczonego i wyczerpanego wojną domową i bez broni, było nie-możliwe. Przykład Węgier i Rumunii też nie jest bardzo zachęcający. W Vichy i w miarodajnych kołach w Afryce przeważało zawsze przekonanie, że Hiszpania nie jest zdolna do jakiegokolwiek interwencji. Vichy starało się o jak najlepsze stosunki z Madrytem, pomimo całej irredenty i propagandy antyfrancuskiej w Afryce. Po Abetz i Leahy, trzecie miejsce miał w Vichy ambassador Laquerica. Na wszystkie raporty z Afryki o piątą kolumnie hiszpańskiej, Pétain zawsze odpowiadał: „Pas d'histoires avec les Espagnols”. I politykę francuską cechowała do końca duża po-bliżność*).

H. I. LUBIENSKI.

*) W jednym z najbliższych numerów „Wiadomości Polskich” „Sprzysiężenie rady Murphy”.

KAROL ZBYSZEWSKI

NIE OBAWIAJMY SIĘ SŁÓW ANGIELSKICH

MAKARONIZMY

Jest rzecz całkiem niepotrzebna, gdy Polak mówi do dzwierzyn: „Ja lajkuję cię tak bardzo”. Najbardziej klasico wystarczy zupełnie do szczęścia ich usłyszy: „Ja cię kocham”.

Szpótne jest wtrącanie cudzoziemskich słów bez potrzeby.

A zbędne jest wtedy gdy istnieje polskie słowo doskonale oddające ten sam sens. Jakimiś pilnami są ludzie nie umiejący po rosyjsku, a upierający się przy opowiadaniu pseudo-po rosyjsku brodatych kawałów, które nadomniar niochy nie straciły ze swego prostactwa opowiedziano po polsku.

Drażniące było przepływanie polszczyzny łacina, potem francuskim, potem rosyjskim (przez królowiaków — nigdy przez ludzi z samej Rosji), czy też obecną wypychanie angielskich zwrotów. Makaronizowanie, to wtrącanie obcych słów bezładu i składu. Makaronizowanie u innych należy traktować warknięciem, zgrzytem zębów, odwracaniem się plecami...

NOWE POJĘCIA

Wojna wysunęła mnóstwo absolutnie nowych, nieznanych nam dawniej rzeczy i czynności. Wiele ludzi chce określać je czysto polskimi słowami.

Rozgorzała np. w ostatnich czasach dyskusja, jak przechrzcić na polski słowo intruder. Proponują takie nonsensy, jak *klusownik, zagocznik, harcownik* i Bóg wie co jeszcze.

Każdy, kto naprawdę umie po polsku, pojmuje znaczenie tych słów. Spotykał je w literaturze, wiąza się u niego ze ściśle sformułowanymi czynnościami, jak zakładanie petli na zające, buszowanie konno po stepie, wyskakiwanie przed bitwą na spotkanie wrzecz. Nazywanie *intrudera* *klusownikiem* jest gwałtem przeciw polszczyźnie i zdrowemu rozsądkowi.

A więc jak go nazwać?

Poprostu: *intruderem*! Trzeba przyjąć od Anglików nową czynność razem z nową nazwą. *Intruder* brzmi po polsku równie dobrze, jak *puder, lukier, cukier, smugiel, szuler, kuter czy morderca*! Wszystkie te słowa są pochodzenia cudzoziemskiego, i uważamy je dziś wszystkie za czyste polskie.

Potworzyliśmy od nich wygodne czasowniki, jak *puścić, ocucić, smuglować, morderać*. Może być *puścić* — dlatego nikt nie byłby intruderem? Używamy słowa *intruder* — czemu nie mamy mówić *intrudować*?

Powtarzamy co chwila z lubością słowo *trud* — zaczniemy też mówić z dumą *intruder*.

ZAPOŻYCZONY JĘZYK

Nasi purysci językowi są to ludzie mało czytani i niechętnie czyniący użytek ze swych klepek mózgowych. Każdy wozy na wydziale filologicznym wie, że polskich słów wogóle niema. Są tylko słowa dawnej lub później zapożyczone z innych języków. Brickner, któremu chyba nikt nie odmówi umiłowania języka polskiego, doszukał się tylko jednego, jedynego czysto polskiego słowa, mianowicie: *kołacz*.

Wszystkie inne wywodzą się z sanskryckich, łacińskich, germańskich, cerkiewno-słowiańskich, francuskich...

Nie ma w tem żadnej ujmny, bo każdy naród robił to samo. Brał obce słowa, przekręcał je na swój sposób i tak tworzył swój język. Słowa są jak złote przedmioty, które ludzie wykradają sobie wzajem, przepatują na coś innego i znów sprzedają innym. Dzięki Bogu zresztą, bo narody nie przyswajające sobie obcych słów są jak murzyny afrykańskie, belkocący językiem złożonym z kilkuset załadowych słów.

Gdy czytamy, że „burgaria kiereżę poprawił, żupan obciągnął, rekawy kontusza odrzucił, szarawarami potrzęsął, za karabele pomachał...”, aż zatyka nas polskością. A w rzeczywistości gdzie tu jest polskość? Strój turecki, szablę turecką, nazwy węgierskie, tytuł bohatera niemieckiego, on sam może być tatarski, a autor pewnie z Żydów.

Kto dziś protestuje przeciw takim słowom, jak *kanapa, kuchnia, talerz, fotel, kawka, czy serwetka*? Nikomu do głowy nie przychodzi zastępować ich jakimiś polskimi łamańcami, choć jakiś umiłowający po francusku i niemiecku dobrze wie, iż zapożyczenia są w żywem stantardzie. Ale te rzeczy zostały tam dawno wymyślone, dawno do nas przeszły, więc i do tych słów się już dawno przyzwyczailiśmy i uważamy je za swoją bezpośrednią własność.

Jakichś sobie dziś radzili bez takich słów, jak *prezydent, dyrektor, prezes, sekretarz, ambasador, bank, korespondencja, weksel, akcja, teleskop, globus, patent, telegraf, druk* i tysiące, tysiące innych?

„To wszystko brzydkie naleciałości!” — kwikną purysci.

Tak, ale bez nich rozmawialiśmy chyba tylko namigi.

WIEK SŁÓW

Wszyscy są zadowoleni ze słowa *druk*, choć wzięliśmy je od Niemców czterysta lat temu. Natomiast przeciw wprowadzeniu słowa *blitz* rozlega się krzyki protestu. Anglijscy są roztopnieni i zaadoptowali *blitz* bez wahania. Podobnie Anglijski uważa słowo *camouflage* za swoje i umieszcza je w słowniku oxfordzkim. My operamy się przeciw *kamufażowi*, natomiast *markietanka* weszła do literatury i pachnie nam swojsko. Co za nonsens! *Markietankę* przyjęliśmy z wojen napoleońskich, dlatego nie cheśmy przyjąć *kamufażu* z pierwszej światówki a *blitzu* z drugiej?

Cały sekret leży w starości. Cudzoziemskim słowem, będącym od pięćdziesięciu czy stu lat w użyciu, nikt nie neguje prawa pobytu w słowniku polskim, walczą się natomiast zjadłymi z nowymi, młodymi słowami. Tył w tem logiki co uważa w Polsce starych, siwobrodych Żydów za Polaków, a młodych, poniżej trzydziestki, za nie-Polaków.

Anglijski, jako naród praktyczny, adoptują znieściana nowe, obce słowa, dla których nie mają odpowiednika. Język ich jest dziełem temu przebogaty i cudownie precyzyjny.

My, naszym upieraniem się, ociąganiem, powstrzymujemy rozwój języka. Cheemy utrzymać debęzaka pod szkłem. Oczywiście, debęzak rozwalł wreszcie zawsze szyby i trysnę w górę — ale mimo to będzie w swym rozroście spóźniony.

POSTĘP I NOWE SŁOWA

Przyjmujemy ucieczki, że w dziedzinie wynalazków nie przodujemy światu. Przyjmujemy z wdzięcznością co tam inni wymyślili i z pokorą nazwę, którą do tego przyjęli.

Kto zaprzeczy obywatelstwa słowom: kar-

ty, okulary, motocykl, mikroskop, termometr, gramofon, dynamit, fortepian, motor, elektryczność, żyłka, gaz, kanalizacja, fotografia, tranważ, torpeda, telefon, film, radio? Niema ich u Kochanowskiego, a jednak są one nam dziś potrzebniejsze od jego „Trenów”.

Sport otrzymaliśmy od Anglików w prezencie i wraz z nim paręset nowych określeń. Używamy słów: *hokey, tenis, crawl, ring, lob, wiraż, tandem, serwis, set, rakietka, trampolina, mecz, volley, drive, nokaut*, i bardzo nam z nimi dobrze. Trudno, wynalazca ma pierwszeństwo i narzuca swoją nazwę innym. Niech jaki Polak wymyśli grę lepszą od brydża, ochrzci ją *kołacz* — a można być pewnym, że cały świat uzna i grę i nazwę za świętość, i we wszystkich gazetach angielskich pojawią się kąciki *kołacza*.

Wojna obecną obdarzyła nas niezliczonymi nowościami. Przystąpiliśmy do wojny pierwszy, ale inowacje nie od nas pochodzą. Musimy znosić nie tylko bomby, ale i obcą ich nazwę. Przyswoiliśmy sobie bez mrugnienia oka słowa *representacja* czy *dyrektor*, tak samo musimy skromnie przyjąć *blitz* lub *intrudera*. Fakt, że to są rzeczy mniej przyjemne, nie jest okolicznością usprawiedliwiającą opór. *Rygnąć* była ze smaku i dźwięku antypatyczna, a jednak ją przekłonił.

TWORZENIE NOWYCH SŁÓW

Owszem, trzeba przyznać, niekiedy się to udaje. Ale o wiele rzadziej niż purysci sądzą. *Samolot* zastąpił z powodzeniem *aeroplan, samochód — automobil* (choć *auto* jest bodaj chętniej używane), *ziemia* — *kartofla* (bardzo polowicznie) *centralne* (?) *ogrzewanie — kaloryfery, parowóz — lokomotywy*.

Olbryznia ilość obcych nazw w języku polskim świadczy wymownie jak nowotwory rzadko się przyjmują. Przecie każdorazowo, gdy pojawiała się nowa rzecz, próbowano ochrzcić ją z polską. Na *kino* wymyślono setki nazw, jedne głupsze od drugich. *Widowiska* nikt nie chciał używać, i *kino* zwyciężyło. *Gramofon* pokonał łatwo *samograję*. Fotografia wydała się wszystkim ponętniejsza niż *fotopsysia*. Po krótkiej walce obce słowa się aklimatyzowały, a purysci pikowali nosem w dół.

Wymyślanie nowych słów nie jest wcale wielką sztuką. Sztuka w tem aby się przyjęły, by ludzie chcieli ich używać. Długi czas podziwiałem talent Tuwima w kleceni nowotworów. Sądziłem naiwnie, że wzbogaca on język polski, że go rozszerza. Lecz oto przeżytałem Norwida i zorientowałem się, że to wszystko funta klaków nie warte. Czego tam ten Norwid nie wypisywał! Tworzył dziesiątki nowych słów — i po osiemdziesięciu latach wydawały mi się nadal całkiem nowe. Był to oczywisty dowód, że te słowa się nie przyjęły, że nikomu się nie podobają i nikomu nie były przydatne. Tworzenie nowych słów przez poetów jest jak budowanie zamków z piasku przez dzieci na plaży. Ładne to na chwilę, bezużyteczne, i ledwo budowniczy odejdzie, wszystko się zawala.

Ja sam wymyśliłem trochę słów (przeważnie nie obelżywych), lecz niestety, nie zbłądziły one pod strzechy. Sądze, że Wiech puścił w kurs więcej wyrazów niż Tuwim, Norwid i Słowacki razem.

Jest jakiś instykt narodowy, który sprawia, że dobre słowo przyjmują się natychmiast i powszechnie, a złe, żeby wiadomo jak je forsowano, odbija się wszędzie od zamkniętych ust, jak od skał, i kłapie w przepaść. Nowe słowo musi mieć barwność musi trafić do wyobraźni, musi mieć sens, musi mieć swój sex-appeal. Wszędzie mówią *oxygen*, a my mamy świetne słowo *tlen*. Podobno wymyślił je Śniadecki; natomiast skomponowane przezeń nazwy na *azot* były nieudane, i dlatego *azot* pozostał.

W sporcie widać najlepiej jak ten instykt narodu w segregowaniu nowych słów działa nieomylnie. *Półka nożna* zastąpiła *football, bramka — gola, karny — penality, obrońca — beka, siatkówka — volleyball, sierpowy — swinga, użęskowanie — dribbling, podbródki — uppercuta, gra — game'a, spalony — off-side'a, narty — ski, drużyna — team* i t.d.

Te zastępstwa się spodobają, więc się rozpowszechnią. Ale *start, finish, fault, sprint, szput, runda, backhand, smatch, groggy, dysk, trudzeń, stoping, aut* i chmary innych pozostały.

Wymyślono na nie dziesiątki zastępstw, lecz instykt językowy sportowców odrzucił je jako te i nieodpowiednie.

A cóż powiedzieć o takim słowie, jak *fair*? Przyznajemy ono nam nowe, wspaniałe, nieznanie przedtem w Polsce pojęcie. Czy mieliśmy się go wyrzucić dlatego by uniknąć angielskiej nazwy? Nomenklatura sportowa — jest to świetny przykład jak naród samorzutnie spolszcza nazwy, które polszczyźnie można, i jak akceptuje obce nazwy, gdy nie znajduje dla nich właściwego odpowiednika. Żadnego przymusu tu nie było. Działal jedynie wrodzony instykt językowy i działał zawsze trafnie.

WOJNA I SŁOWNICTWO

W naszym wojsku, zagnieżdżili się jacyś purysci, którzy się uparli wszystkim co Anglijski wymyśla nadawać nazwę polską nazwę. Jest to przedsięwzięcie naiwne i nie może się udać.

A przedewszystkiem dlatego zaczynać od końca, czyli od lotnictwa i marynarki, zamiast od fundamentów? Jeśli Rubens wytycza bój słowem tak wyborne pasującym do języka polskiego, jak *intruder, dispersal, bust, flar, radiolokacja, trolley, interkomunikacja, destroyer, dinghy, mozeby* naprzód przetłumaczył na polski następujące „obco”, rzucając swem cudzoziemskim brzmieniem słowa, które dla ułatwienia podaje w formie nowelki.

A więc:

KARJERA MILITARNA

Mobilizacja!
Rezerwista, koszarzy, mądgażyny, drelchów, rekrut, poligon, musttra, dryt!
Kapral, pluton, sierżant-sze!
Karabin, bagniet, granat, marsz!
Tryalera, fortyfikacje, miny, atak, szturm!
Kapitulacja, wivaty, gratulacje, awanse!
Kapitan, batalion, major!
Evakuacja, dezorganizacja, panika!
Denuncjacja, dezercja, prokurator, proces!
Degradacja, kasacja, rehabilitacja!
Staż, gaza, reorganizacja!
Kawaleria, szwadron, lanca, pika!
Galop, szarża, sztandar!
Order, rewja, trąby, honor, dekoracja!
Brygada, dywizja, korpus, armia!
Komendant, generał, inspektor, marszałek!
Adjutant, ordynans, sztab, plan, operacja, kampanie!

Paraliż, amputacja, dymisja, emerytura, preferans, apopleksja!
Laveta, orkiestra, defilada, salwa!

Sądze, że wszyscy zrozumieli, choć niema tu ani jednego polskiego słowa. I może ktoś powie: „No tak, ale jednak mamy w wojsku i czysto polskie nazwy, jak *rotmistrz* lub *wachmistrz*”.

Alę skąd! Te tak polsko brzmiące szarże pochodzą ze szkaradnych szwabskich odpowiedników: *Rittmeister* i *Wachmeister*! Polacy, jako naród wybitnie amilitarny, brali zawsze wzory i słowa od innych. Purysci, broniący dziś dostępu do naszego słownictwa wojskowego paru nowym angielskim określeniom, podobni są do ludzi śdziejących na stercie słomy i czyniących dziłkie wysiłki, by nie dopuścić kilku żdziebiel siana niesionych przez wiatr. Pod pozorem, że zaśmiećca one całą stertę!

W czasie obecnej wojny trochę nowotworów się udało, i te zostały uznane momentalnie. *Nalot, myśliwiec, schron* są w powszechnym użyciu. Oczywiście, że ratownictwo morskie, doskonale zastępuje *sea rescue*, albo *smuga dymu — smoke trail*. To proste tłumaczenia.

Lecz już *zaciemnienie* jest absolutną bzdurą, i wobec naszej beznalności w znalezieniu właściwego określenia powinniśmy przyjąć dźwięczny *blackout*. Nie brzmi to gorzej, niż *blacharz, blagier, blask, blady, blawat, chłada, fald, gwałt czy rybalt*.

Albo pocóż starać się zamienić słowo *boost* na *ladowanie*? *Dać busta*, to wyrażenie, a *dać ladowanie*, to gładzenie. I *czem bust* jest gorzej niż *odpuszt, oszust, chrust, biust, spust*? Za dziesięć lat *bust* będzie dla naszych mechaników równie polsko brzmiącym słowem, jak *garaz, hangar* czy *karburator*.

Nomenklatura wojskowa, zalana po czubek swego słownika obcymi wyrazami, jest śmieszna w swej obawie przed wehłonięciem kilkunastu jednych angielskich określeń, dla których zamiast odpowiedników, znajduje jedynie jakieś-śtrokate dziwłogi.

Podobnie jak sport, wojsko musi uznać, iż wszystkiego przetłumaczyć się nie da. Im przedziej nowe słowa angielskie uzyskają obywatelstwo — tem lepiej.

NIEPOROZUMIENIA MORSKIE

Przed wojną czyniono komiczne próby spolonizowania wszystkich morskich nazw angielskich. *Masz* kazano zwać *dyszlem*, a *reje — orczykiem*! Idąc po tej błyskotliwej linii, należałoby *komandora* przechrzcić na *karbowego*, *admirala — na ekonomę*, a *port — na gumno*.

Nasze władze morskie ciągle stękają, że prasa, pisząc o marynarce, nie używa właściwych terminów. W rzeczywistości dziennikarze są pełni dobrej woli, tylko instykt językowy nie pozwala im na używanie nazw, które są zgruntu niewłaściwe.

W Polsce władze lotnicze forsowały określenie *samolotu* jako *statek powietrzny*. Nigdy się to nie przyjęło, bo w umyśle każdego Polaka *statek* jest tak związany z wodą, że mowy nie było o wzbicie go w niebiosa. Dyrekcja kolei była praktyczniejsza i nie próbowała nazywać *pociąg* — *statkiem ziemnym*.

Podobnie nikt nie chce nazywać *łódź podwodną — okrętem podwodnym*. Nazwa ta jest niezgodna z instynktem językowym! Wiadomo, że jednostkom marynarki wojennej przysługują określenie *okręt*, i wiadomo, że *łódź podwodna* nie służy do przejażdżek na Bielany. Ale *okręt* leży się w umyśle każdego rozumiejącego istotę polszczyzny z czemś wielkim, potężnym i pływającym koniecznie po powierzchni morza. I stąd w potocznej mowie i w piśmie uparcie żyje — *łódź podwodna*.

Anglijski i Niemcy widocznie czują jednakowo, bo też piszą zawsze: *u-boat* lub *U-Boot*. *Pancerniki* i *kraźowniki* przyjęły się odrazu, bo to nowotwory udane. Natomiast *kontr torpedowce* nie ma szans istnienia, odkąd poznaliśmy się to razy lepsze słowo *destroyer*.

Kontrtorpedowce jest wzięty żywcem z francuskiego *contre-torpilleur*. Co za sens najszybszemu, najwinniejszemu okrętowi przyklejać akurat najdłuższą, najniezdarniejszą nazwę?

Z dwu cudzoziemskich słów, lepsze jest oczywiście angielskie i dlatego weiska się ono w naszą mowę. Przyszem, *destroyer* brzmi po polsku nie gorzej niż *kurjer, frajer, fryzjer lub portier*.

Nie wstydzimy się przyjmować od Anglików marynarskich zwazówek oraz statków i okrętów. Niema się też co wstydyć w przyjęciu od nich kilku właściwych słów.

WIELKIE ULATWIENIE

Gdy po raz pierwszy przyjechałem motocyklem na Węgry, szwadronem się przez pół godziny w okropnej pasji po mieście, nie mogąc znaleźć napisu *hotel*. Węgry mają własną nazwę *szaloda*, która naturalnie nie zachwyca żadnego cudzoziemca.

Znane na całym świecie słowa, jak *hotel, paszport, sleeping*, ułatwiają niesłychane podróże i stosunki międzynarodowe. Kraik, w którym nie rozumieją słowa *tani* czy *restauracja, cafe, muzeum, biblioteka, policja, menu*, zyskuje opinie barbarzyńskiego, i nawet kijem turystów się doń nie zapędzi.

To drobne międzynarodowe ułatwienie nie jest wcale drobiażem. Te kilkanaście czy kilkadziesiąt słów, znanych na całym świecie, sprawia, że ludzie czują się członkami jednej cywilizacji i Peruwiańczyk z Polakiem potrafią się porozumieć, podczas gdy nie potrafi tego murzyn mruczący: „ba — ba — bu — beee”, z Eskimosem, klekoczącym: „kwa — kwa — kwa”.

Tygodnik „Skrydła” wystąpił z miłą utopją, że Warszawa powinna być po wojnie lotniczym centrum świata. Trudno wy tłumaczyć, dlaczego Anglijski mieliby latać z Londynu do Kairu, lub Kanadyjczy z Montrealu do Moskwy nie najkrótszą drogą, ale akurat przez Warszawę, lecz załóżmy, że dla naszej przyjemności istotnie tak wytkną trasy. No to, albo cały świat lotniczy będzie się musiał nauczyć po polsku, albo w tym centrum lotniczym świata będą musieli się nauczyć po angielsku.

Jedynie wyjście stanowi jednakowa nomenklatura lotnicza. Lecz właśnie „Skrydła” waleczą z tem zarzeczem. Anglijski mają nie tylko lecieć z Londynu do Australii przez Warszawę, ale mają się uczyć na dodatek, że *dispersal*, to *wygon*.

Otóż tu już nonsens jest za wielki. Dla każdego przytomnego człowieka nie ulega wątpliwości, że lotnictwo po wojnie będzie domeną angielsko-amerykańską. Kto zeche należeć do tego świata, będzie musiał znać słownictwo angielskie. Tworzyć własną, dziwłogową nomenklaturę, a potem znać

i używać angielskiej, cóż za niepotrzebny wysiłek i co za zamieszanie! O ileż logiczniej i praktyczniej przyjąć poprostu większość określeń angielskich.

NA ZAKOŃCZENIE

Każdy, kto ma ochotę gęgać o potrzebie zachowania czystości języka, niech dobrze sam skontroluje, co które słowo używa wyraźnie cudzoziemskiego zwrotu. I niech spróbuje mówić bez pomocy tych obcych wyrazów!

Kultura szła do Polski z Zachodu, i Polacy czerpali słowa z łaciny, włoskiego, niemieckiego czy francuskiego pełną gębą. I chwala Bogu! Bo jeśli mamy dziś język dość zasobny i jesteśmy w stanie mówić mniej więcej o wszystkim po polsku, dzieje się tak oczywiście nie dzięki tępyr purystom, ale dzięki tym „szkodnikom”, co „zaśmiecali” naszą mowę obcymi słowami.

Skąd dziś idzie postępek, skąd się sypią wynalazki? Nie z Garwolina jednak, ale z krajów anglosaskich! Edison dokonał dwu tysięcy wynalazków! Znakomity Wiech nie wymyślił nawet połowy tej ilości słów. Czy nie mamy używać amerykańskiej masyżny do obierania cebuli, by się ustrzec od jej amerykańskiej nazwy?

Niepodobna dyskutować o prawie bez używania określeń łacińskich, rozważać kunsztu miłości bez słów francuskich, barwnie komuś nawymyślać bez sukcesu bogatych wyrazów rosyjskich.

Dla czegoś mówią o sporcie, lotnictwie i marynarce nie mamy wtrącać precyzyjnych, najlepiej oddających istotę rzeczy terminów angielskich?

Nie nie rozumiający purysci zawsze powtarzają jak papugi: „Polacy nie gęsi i swój język mają!”.

Alę mamy, naturalnie, że mamy. I to nawet tak trudny, że nigdy cudzoziemiec nie może się go nauczyć! Mimo wehłonięcia tysięcy obcych słów, język polski pozostał polski. Zastrzyk angielskich słów też nie uczyni go wcale żadnym esperanto. Lecz właśnie by się nie upodobić do gęsi, nie możemy powtarzać wokoło: — *kołacz, kołacz, kołacz, kołacz...*

Bo z żywym językiem jest jak z dziećmi w rodzinie. Płodzi się trochę własnych, adoptuje bezwiednie dużo bekartów — i ród trwa, i jakoś to idzie...

KAROL ZBYSZEWSKI.

JANUSZ JASIEŃCZYK

W A T E R *)

Woda. Słodka woda do picia, do prania, do mycia, do kąpieli, do kuchni. Czy wogóle warto pisać o niej? Czy wy, ludzie stantard, spoza pustyni, wiecie, co to jest woda, czy myślicie o niej?

Nie, z pewnością nie. Nie potrzebujecie myśleć o wodzie, jak nie myślicie o powietrzu. Jest powietrze — jest woda.

Dużo wody, słodkiej wody: przelewa się w rzekach, potokach, jeziorach, filtrach, wieżach ciśnienia, basenach. Wielkie i małe miasta, osady, wioski, obozy wojskowe, nawet chaty czy górskie koliby mają jej dosyć.

Szum w rurach, z pluskim wlewa się do wanien — gorąca, parująca, rozkoszna. Leje się z kranów, napełnia naczynia kuchenne, balje pełne mydlin, z pluskim oblewa nagie ciała, przeżęte się pod chłodną pieszczotą natrysków, przyjmując w luksusowym basenie ciało zgrabnego pływaka.

Czasem przybiera postać pary: porusza maszynę, czyści tkanki skórne w tureckich, perskich, rosyjskich łaźniach. To znów staje się lodem, aby chłodzić ludzkie posiłki, być wrzucona do whisky, magazynu, mrozić kawę, mięso, jarzyny.

Pełno jej wszędzie. Z domieszką różnych składników lub chemikalij staje się lemonjadą, oranżadą, albo poprostu wodą sodową. Stoł w sklepach i budkach. Równie rzędy większych i mniejszych butelek z kolorowymi etykietami. Syfony: małe, duże, olbrzymie mosiężne balony.

Pełno jej wszędzie. Nie potrzeba o niej myśleć. Jest jak powietrze: niewidoczna, niepostrzegalna — choć tak niezbędna, nieodzowna do życia.

Jest tak banalna, tak pospolita, że gdy jakiś prelegent nudzi i po północy miele językiem, mówicie: „Leje wodę”. Gdy literatowi nie uda się feljeton, lub autorowi komedia — mówi się: „Woda”. Woda, to nic.

Oj ludzie, ludzie, jak wy krzywdzicie wodę!

— Woda! Woda! Drużyny po wodę!

Podoficer gospodarczy nie potrzebuje dwa razy powtarzać tego okrzyku. Już dobra chwila było słyszeć silnik zbliżającej się ciężarówki. Dziurni — dzisiejsi kucharze poszczególnych drużyn — dawno już poprzynili wodniki pod sechrou wodówki plutonu. Ustawili je rzędem, drużynami, dla zabezpieczenia kolejności. M. z 7-ej drużyny martwi się, bo jest dzisiaj ostatni — może nie starszy wody, może dostanie za ledwie trzy wodniki?

Zajeżdżał samochód. Z mroków nocy wysuwają się tajemnicze postaci — jest ich dwanaście, choć drużyn tylko cztery na beczkę. Przy rozdziale wody nigdy nie brak ochotników: może uda się ułaskać coś do manierki, do mięsa?

Plutonowy P., ogromny Poznańczyk, zeskaakuje z wozu.

Alę dzisiaj dostaliśmy ognia! Niech to piorun spali! Trzy poiskowy buchły o jakie dziesięć metrów od wozu, gdy mijaliśmy horyzont. Sukinsyny, macają drogę nawet po nocy.

Nikt na niego nie zważa. Sam sobie wien: że za weześnie wyjechał. Dwóch ochotników jest już na „lorze”. Tył wozu otwarto. Żelazna beczka zaraz stoczy się na piasek pustyni: uwaga, odsunąć się.

Pae. Już jest. Kapral, „mistrz” od wody, z nabożeństwem bierze klucz od P., odkręca metalową nakrętkę. Szubrowi z drużyn i wolni od służby ochotnicy kucąją wkoło. Wzrok wszystkich skierowany na beczkę i „areykaplana”. Przy blasku księżyca wygląda to jak jakiś tajemniczy obrząd. Człeciele wody czy o u licha?

T. zdjął już nakrętkę, zgręcznie zanurza w otwór gumową rurkę. Szubrowy z 8-ej drużyny — dziś pierwszy w koleje — podstawią wodnik, bierze do ust rurkę. Ciągnie

*) Rozdział z książki o Tobruku. Rękopis niniejszego szkicu znajdował się w poczie samolotu, który wioził gen. Sikorskiego, i po katastrofie został wydobyty z morza.

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglii aby zwracali się z zaufaniem do osób lub drog pocztową z receptami i w wszelkimi zapotrzebowaniami farmaceutycznymi lub medycznymi do składów aptecznych:

John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1 (służba dzienna i nocna)

Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1 Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą

SAVORY & MOORE LIMITED
Aptekarzy Jego Królewskiej Mości
143, New Bond Street

LONDON

Historia pewnego podboju

„Ze wszystkich czynników, które wywołują zmiany w dziejach, wyniki wojen były sprawami najmniej przypadkowymi”. „W praktyce — mimo swej rzadkości — myśl miała większy wpływ na zdarzenia na losy wojen, które kształtowały historię”. Liddell Hart, znany angielski pisarz wojskowy, udowodnił powyższą tezę, szkicując w „Worlds Review” historię rozwoju myśli wojskowej. Od falangi greckiej i dzidy doryckiej, poprzez taktyczną myśl bitwy pod Cannami, wyprawy Belizariusza i t.d., i t.d., aż po tak modne dziś teorie Clausewitza, wszędzie odnajdując Liddell Hart myśli wojskowej, trzymającą nad beznamiętną rutyną czy brutalną siłą. Zdaniem Clausewitza — którego dzieło przerwała nagle śmierć — nie był rozumiany przez „swych ubogich duchem uczniów wojskowych”. Wychodząc z założenia, że „wojna jest sprawą gwałtu doprowadzoną do ostatecznych granic”, Clausewitz dowodził, że byłoby nieelogeologiczne, gdyby do filozofii wojny wprowadzić zasadę umiarkowania. W toku rozumowania dochodzi do wniosku, że abstrakcyjne myślenie nie powinna stać w polowie drogi, ale może wywołać konsekwencje z wszelkich krańców. Jednak „wszystko nabiera innego kształtu gdy przechodzimy z teorii do praktyki”.

Na nieszczerze, a może na szczerze, strach Niemiec nie zrozumiał znaczenia tych słów. Wynikiem tego była wojna totalna, którą Niemcy nazwali *światem*, myślenie że wykonują wskazania Clausewitza. Zasada silny, użyte bez miary i bez rachuby kosztów, może być rozumiana w rozszalałym nienawieści, jednak jest ona zaprzeczeniem rozumu politycznego. Państwo, które natęży swe siły do punktu wyzerpania, doprowadza do bankructwa swą współczesną i późniejszą politykę. Totalna wojna wywołuje totalny opór, a że równanie sił w bitwie nie jest wykładnikiem równania żywotnych sił narodów, doprowadziło to w obecnej wojnie i doprowadziło musi zawsze w ostatecznym wyniku do klęski pyzyska, który śmie się porwać na cały świat, ufiny w totalną przewagę na polu bitwy. Można wygrać bitwę mimo dysproporcji sił, trudniej wygrać wojnę, ale nie można wygrać pokoju. W teorii, taka a taka postawa, artylerii, piechoty i lotnictwa, użyta w sposób bezwzględny, totalny i inteligentny, musi dać zwycięstwo. Ale tu myślenie wojenne staje. Ani kroku dalej. Jedynym bowiem wynikiem totalnego zwycięstwa jest totalny pokój, a ten „konflikt” nie podpada pod kompetencje myśli wojskowej. W tym „konflikcie” nie walczy się strategią, techniką czy taktyką żołnierską. Millennium, które Hitler przyrzekł Niemcom, „marzeniem świętej głowy”. Niemcy wygrali wojnę z Polską, ale nie wygrali w Polsce tego pokoju, który normalnym biegiem rzeczy powinien być zapanował po kapitulacji Warszawy, tzn. po teoretycznym zwycięstwie.

Taki właśnie konflikt, który wyrasta po zwyciężeniu zakończeniu totalnej wojny, jest tematem powieści Johna Steinbecka „The Moon is Down”. Powieść mogłaby rozgrywać się w Polsce nie tylko dlatego, że opisuje analogiczną walkę i analogiczny opór po klęsce, ale także dlatego, że autor ani razu nie wymienia narodowości bohaterów swej powieści. Domyślamy się, że są to Norwegowie i Niemcy, ale domyślamy się też, że są to Polacy, którzy normalnym biegiem rzeczy powinni być zapanowali po kapitulacji Warszawy, tzn. po teoretycznym zwycięstwie.

*) The Moon is Down. A Novel by John Steinbeck, London, William Heinemann, 1942; str. 6n, 120 i 121.

W krajach okupowanych

Co się dzieje naprawdę w krajach Europy, okupowanych przez Hitlera? Co jest pogłoską, co wytworem fantazji? Co propaganda wojenna, a co dziennikarska przesada wielojęzycznej prasy na terenie Wielkiej Brytanii lub Stanów Zjednoczonych?

Pytanie to powraca i nasuwa tysiące wątpliwości czytelnikowi prasy anglosaskiej. Ile razy słyszałem z ust poważnych i światłych ludzi; profesorów lub dziennikarzy, znawców Europy, lub z ust przeciętnego czytelnika gazet czy sąsiada widza w kinie, wysławiającemu dziwne i przerażające historie ludzkich cierpień, poniżeń, mordu i głodu, gdzieś daleko nad Wisłą lub Dniestrem.

Czemu wierzyć? Literatura angielska na ten temat jest już dziś wcale pokązna. Od najfantastyczniejszych reportażów „thriller”ów, poprzez scenariusze filmowe, codzienne notatki w prasie lub wiadomości słyszane z radia, do urzędowych publikacji rządów sprzymierzonych i poważnych opracowań indywidualnych, jest tego wiele. Może nawet więcej, niż druków na temat celów wojny.

Narody anglosaskie, które tak bardzo cenią krew swoich żołnierzy, które odcinają notuj każdego uratowanego pilota, niemal każdego wycofanego z wody marynarza, które rzuciły np. na Pantellerię tysiące bombowców, aby tej krwi oszczędzić, chcą wiedzieć *prawdę* o krwi sprzymierzonych walczących pod okupacją wroga, o ofierze trzecich, czwartych i dziesiątych frontów, znających się nieustannie w nierównych walce; o walce tej nie można wydawać komunikatów, wymienianich nazw, informacji, ani przytaczać nazwisk bohaterów ani nadawać im odznaczeń.

John Armitage, w książce „Europe under the Nazis, [Europe in Bondage]” pisze: „Naród brytyjski rozumie wojnę, ale jego natura obce są wszelkie przesładowania, a zwłaszcza przesładowanie niewinnych mężczyzn i kobiet, tak dalece że psychika narodu często nie pozwala na zrozumienie całej tragedii cierpień doświadczanych codziennie, tam na kontynencie”. Czy może być lepsze

1) Europe under the Nazis. Europe in Bondage. Reports of the London International Assembly. Edited by John Armitage. With a Preface by Viscount Cecil. Londyn, Lindsey Drummond, 1943; str. 98 i tabl. 4.

THE „COUNTRY FAIR”
KAWIARNIA I RESTAURACJA
15-17, Baker Street, Wąskio od strony George Street, pod napisem „LUCIAN”, LONDON W.1; tel: WELbeck 9326
Otwarta od godz. 12 do godz. 8 wiecz.
w niedzielę od godz. 2 do godz. 8 wiecz.
Odwiedź, podziękuj i kłóć
CENY PRZYSTĘPNE

KAŻDY POLAK
który pragnąłby otrzymać NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ św. JANA w języku polskim, zachęca iaskawie zwrócić się do
P. S. K. HINE
110, Christchurch Road, London, S.W.2

odwyka od stuleci od wojen, że młodzi ludzie nieciągają na łodzi rybackiej do Anglii, by stamtąd waleczyć z najędźdź. Być może, że opisane cechy charakterystyczne także wskazują na Norwegów. Nie wiem. Nie znam Norwegów. Polacy nie byłby pewnie tak spokojni, choć byłby równie zacięci. Polacy nie rozpoczeli by walki tak na trzewie, na chłodny chłopski rozum, ale też walkę, tak samo jak „Norwegowie” Steinbecka, podjęli i toczą dalej. Nevermind! Obojętne jest zresztą, o jaki naród chodzi — książka Steinbecka bardziej niż filozoficzne rozważania udowadnia tezę, którą Liddell Hart wyczytuje w dziełach Clausewitza.

Treść powieści jest najładnie dokonany w warunkach żywo przypominających najład na Norwegię. „Najędźdź” zdobywają miasto niemal bez oporu ze strony ludności, która od wieków nie znała wojen. Wszystkie działało sprawnie. Akcja wojenna — zarówno ta z bronią w ręku jak i ta orkiestra wojennej, grającej na rynku oszomolonym tubylcom „piękne i sentymentalne” pieśni — i akcja przygotowania miejscowego quilinga, były tak doskonale zharmonizowane, że wróżyły jak najlepiej na przyszłość. Mimo to, wszystko poszło inaczej. Pokojowe miasteczko i jego spokojni mieszkańcy zesztywniali w niemym oporze. Bunt narastał powoli. Zrazu raczej instynktownie lub z złośliwością. Burmistrz Orden oświadczył, że nie będzie rozmawiał w obecności miejscowego quilinga z oficerami niemieckimi. Kucharka Annie wywała wrzask na żołnierza niemieckiego, który stojąc na warcie, mógł zagładać (choć może i nie zagładą) do jej kuchni.

Krótko jednak „Norwegowie” przeszli do bardziej gwałtownego i bardziej świadomego oporu. Główni Morden zabija w porwie złości oficer niemieckiego, który chce go zmusić do pracy. Dwa młodych ludzi ucieka do Anglii i usiłuje porwać „na drogę” quilinga. Burmistrz Orden daje im następujące zlecenie: „Powiedzieć im jak tu wygląda. Pilnuj nas. Każdy nasz czyn wywołuje represje. Gdybyśmy mogli mieć jakąś prostą, tajną broń! Zakonspirowana broń. Materiały wybuchowe, dynamit, by wysadzić szynę, granaty, jeśli można — nawet truciznę. To nie jest szlachetna wojna. Jest to wojna zdrady i mordu. Musimy używać sposobów, których używano przeciw nam. Niechaj bombowce brytyjskie rzucą swie wielkie bomby na fabryki, ale niechaj rzucą także dla nas małe bomby, które będziemy mogli ukryć, wsuwać pod szynę, pod czołgi. Wówczas my też będziemy uzbrojeni. U- zbrojeni tajemnie. Najędźdź nigdy nie będzie wiedział, kto z nas nosi broń. Niechaj bombowce przyniosą nam prostą broń. Będziemy wiedzieli jak jej użyć”. Totalny podbój stwarza totalny opór. „Byłoby nieelogeologiczne, gdyby do filozofii wojny wprowadzić zasadę umiarkowania”. Do filozofii, ale nie do praktyki. Tego Niemcy nie zrozumieeli. Tej mądrości nie wyczelili z dzieł Clausewitza i dlatego przegręją drugą już wojnę.

Totalny pokój powoduje nie tylko opór podbitych, ale także załamanie się najędźdź. I tu Steinbeck osiąga wyżyn artystyczny. Jego „Niemcy”, to normalni, codzienni ludzie. Ludzie, którzy myślą i czują jak każdy z nas. Ktoś kocha ją i nienawidzi, tęsknią i nuda się. Nawet w opisie najbardziej zatwardziałego hitlerowca nie używa słów gwałtownych, literackich, greupelpropagandy. A mimo to naga wymowa faktów potępiła bardziej niż mogłoby potępić słowa: „nienawidzi” rodu się nie tylko w sercach „Norwegów”, ale także w umyśle czytelnika. W powieści, w której Niemcy byłby przedstawieni na tle niewinnym, w domu, przy

pracy, przy kobiecie, ta powściągliwość byłaby zrozumiała i naturalna. Jednak tu to jest inne. Niemcy z „The Moon Is Down”, to najędźdź. Wojownicy na tle wojny. Ich jedynym celem jest wojna. Jedyną racją bytu w miasteczku, jedynym uzasadnieniem w powieści. Pokusa do inwencji była niemała. Autor potrafił się jej oprzeć.

Potępienie faszyzmu, napaści, brutalnej siły nie jest jeszcze dzisiaj dla ludzi sprawą naturalną, samo przez się zrozumiałą. Nawet w toku tej wojny, w obliczu grozy bez miary i cierpienia bez miary, które nawiedziły świat głównie z winy totalizmów, wielu ludzi nie umie oprzeć się uczuciu zazdroznego podziwu. Podziwiają sprężysto i sprawne khorty Hitlera, podziwiają imponujące osiągnięcia Sowietów, podziwiają przedsiębiorczość i odwagę Japończyków. Tu nie wystarczy tłumaczyć i nie można przekonać, bo nie są to sprawy rozumu. Nie pomoże nawet najbardziej wyrafinowana propaganda, bo taka propaganda musi być negatywna, nienawistna. „Eccasae Infame”. A nienawistność zbyt łatwo trafia w osoby, zbyt rzadko — w idee. By zniwiedzić faszyzm, musimy sami, bez obojętnej, zrozumieć jego zło i tę głębię krzywdy, jaką samo jego istnienie wyrządza godności człowieka. Jeśli to było powodem oszczędności w oburzeniu, o Steinbecku — znanym i cenionym autorze amerykańskim — usłyszymy jeszcze dużo więcej.

Konflikt pomiędzy „Norwegami” a najędźdźcą rośnie w sposób dramatyczny. Anglii zrzuciła na spadochronach dynamit, o który prosił burmistrz Orden. Stłumiona hydra sabotażu objawiła się Niemcom. „Niemcy, to punktualny naród, a czas ich prawie że minął. Myśla, że ponieważ mają tylko jednego wodza i jedną głowę, i my jesteśmy tego sami. Wiedzą, że dziesięć ciętych głów zadecydowały o ich zniszczeniu. My mamy tysiąc głów i to jest ohydat. W chwilach krytycznych przywódcy występują u nas jak grzyby”. Opór się muci. Może zbyt realnie, zbyt kinowo. Ale oż my wiemy o kształtach, jakie przybiera rozpacz? Burmistrz Orden zostaje aresztowany jako zakładnik. Będzie rozstrzelany jeśli akcji sabotażu się powtórzy. W patetycznej scenie rzuciła w twarz niemieckiemu pułkownikowi słowa „Obrony Sokratesa”: „Zabiłście mnie, gdyż chciaście ukarać podstęp oskarżyciela. Biliście się zdać sprawę z waszych dokonań. Ale stanie się wręcz przeciwnie niż przypuszczacie. Gdy mówię wam, że więcej będzie oskarżycieli niż ich jest dzisiaj. Oskarżycieli, których dotychczas powstrzymywałem. A że są młodszy, mniej się będą liczyli ze słowami, a wy bardziej będziecie imi ufać. Jeśli sądzicie, że zabijając ludzi, możecie przeszkodzić komunikowi w cenie waszych nieennych żywotów — myślicie się!”. Nienawidzi iście śladem Niemców. Nienawidzi i zemsta. Sabotaż się powtarza. Muszą się powtarzać. Burmistrz Orden zginie, ale Niemców to nie zbawi. „Od stopy szybu doszedł przeraźliwy gwizd. Szybki porwy wiru rzucił suchy śnieg o okno. Orden, bawiać się swą złotą dziewczką, rzekł spokojnie: „Widzi pan, tego się nie zmienia. Zostaniecie zniszczeni i wypędzeni”. Głos jego był bardzo łagodny. „Ludziom się nie podoba, gdy się ich podbija, i dlatego nie zostaną podbici. Wolni ludzie nie mogą rozpocząć wojny, ale gdy wojna raz się rozpęta, mogą waleczyć nawet po klęsce. Ludzie, „trudna”, kroczący za wodzem, nie potrafią tego, i dlatego zawsze tak już było, że ludzie, „trudna” wygrają bitwy a ludzie wolni wygrywają wojny”.

W konkluzji książki autor stwierdza: „Nadludzki wysiłek tych stu milionów ludzi w Europie, musi znaleźć albo cel w blasku zwycięstwa, albo utonął w oceanie krwi. Do nas (do Anglików — przyp. red.), należy decyzja co wybrać. Czy ośmielmy się zwlekać?”. Jak i Armitage, pisze: „Każdy dzień jest ważny. Każdy dzień znaczący śmierć ludzi najbardziej odważnych i niewinnych, którzy mogliby nam pomóc w naszych planach”.

Podobne wnioski wysnuwa też autor „Pall over Europe”, Oswald Dutsch: „Wzyna o Wielką Brytanię do uczynienia wszystkiego by przyspieszyć uwolnienie narodów kontynentu; raczej już dzisiaj niż jutro”.

„Być może, — stwierdza, — czas pracuje na nas. Nie możemy jednak na to czekać... Gdy narody Europy czekać nie mogą”.

Dutsch daje w swej książce syntezę tego co *naprawdę*, „tam” się dzieje. Daje doskonałą odpowiedź na wątpliwości, nurtujące czasem angielskiego czytelnika gazet. Daje znakomicie udokumentowany obraz życia i walki pod Hitlerem. „Niestety, — pisze, — nie z tego nie zostało zmniejszone, zmniejszone lub przesładowane. Spoza straszliwego, prawie zupełnie rozpaściwego opisu życia na kontynencie, widzimy prawdziwe oblicze setek milionów tych mężczyzn i kobiet”. I stwierdza dobitnie, wymienianych narodów, ludzi i organizację, które w rozmaitych krajach współpracują z najędźdźcą: „Z wyjątkiem „Volksdeutsche”ów, Niemcy nie potrafili znaleźć wogóle żadnych współpracowników w Polsce”.

2) Sabotage. By Lawrence Wolff. Londyn, Nicholson and Watson, 1942; str. 190 i 2n.

pracy, przy kobiecie, ta powściągliwość byłaby zrozumiała i naturalna. Jednak tu to jest inne. Niemcy z „The Moon Is Down”, to najędźdź. Wojownicy na tle wojny. Ich jedynym celem jest wojna. Jedyną racją bytu w miasteczku, jedynym uzasadnieniem w powieści. Pokusa do inwencji była niemała. Autor potrafił się jej oprzeć.

Potępienie faszyzmu, napaści, brutalnej siły nie jest jeszcze dzisiaj dla ludzi sprawą naturalną, samo przez się zrozumiałą. Nawet w toku tej wojny, w obliczu grozy bez miary i cierpienia bez miary, które nawiedziły świat głównie z winy totalizmów, wielu ludzi nie umie oprzeć się uczuciu zazdroznego podziwu. Podziwiają sprężysto i sprawne khorty Hitlera, podziwiają imponujące osiągnięcia Sowietów, podziwiają przedsiębiorczość i odwagę Japończyków. Tu nie wystarczy tłumaczyć i nie można przekonać, bo nie są to sprawy rozumu. Nie pomoże nawet najbardziej wyrafinowana propaganda, bo taka propaganda musi być negatywna, nienawistna. „Eccasae Infame”. A nienawistność zbyt łatwo trafia w osoby, zbyt rzadko — w idee. By zniwiedzić faszyzm, musimy sami, bez obojętnej, zrozumieć jego zło i tę głębię krzywdy, jaką samo jego istnienie wyrządza godności człowieka. Jeśli to było powodem oszczędności w oburzeniu, o Steinbecku — znanym i cenionym autorze amerykańskim — usłyszymy jeszcze dużo więcej.

Konflikt pomiędzy „Norwegami” a najędźdźcą rośnie w sposób dramatyczny. Anglii zrzuciła na spadochronach dynamit, o który prosił burmistrz Orden. Stłumiona hydra sabotażu objawiła się Niemcom. „Niemcy, to punktualny naród, a czas ich prawie że minął. Myśla, że ponieważ mają tylko jednego wodza i jedną głowę, i my jesteśmy tego sami. Wiedzą, że dziesięć ciętych głów zadecydowały o ich zniszczeniu. My mamy tysiąc głów i to jest ohydat. W chwilach krytycznych przywódcy występują u nas jak grzyby”. Opór się muci. Może zbyt realnie, zbyt kinowo. Ale oż my wiemy o kształtach, jakie przybiera rozpacz? Burmistrz Orden zostaje aresztowany jako zakładnik. Będzie rozstrzelany jeśli akcji sabotażu się powtórzy. W patetycznej scenie rzuciła w twarz niemieckiemu pułkownikowi słowa „Obrony Sokratesa”: „Zabiłście mnie, gdyż chciaście ukarać podstęp oskarżyciela. Biliście się zdać sprawę z waszych dokonań. Ale stanie się wręcz przeciwnie niż przypuszczacie. Gdy mówię wam, że więcej będzie oskarżycieli niż ich jest dzisiaj. Oskarżycieli, których dotychczas powstrzymywałem. A że są młodszy, mniej się będą liczyli ze słowami, a wy bardziej będziecie imi ufać. Jeśli sądzicie, że zabijając ludzi, możecie przeszkodzić komunikowi w cenie waszych nieennych żywotów — myślicie się!”. Nienawidzi iście śladem Niemców. Nienawidzi i zemsta. Sabotaż się powtarza. Muszą się powtarzać. Burmistrz Orden zginie, ale Niemców to nie zbawi. „Od stopy szybu doszedł przeraźliwy gwizd. Szybki porwy wiru rzucił suchy śnieg o okno. Orden, bawiać się swą złotą dziewczką, rzekł spokojnie: „Widzi pan, tego się nie zmienia. Zostaniecie zniszczeni i wypędzeni”. Głos jego był bardzo łagodny. „Ludziom się nie podoba, gdy się ich podbija, i dlatego nie zostaną podbici. Wolni ludzie nie mogą rozpocząć wojny, ale gdy wojna raz się rozpęta, mogą waleczyć nawet po klęsce. Ludzie, „trudna”, kroczący za wodzem, nie potrafią tego, i dlatego zawsze tak już było, że ludzie, „trudna” wygrają bitwy a ludzie wolni wygrywają wojny”.

W konkluzji książki autor stwierdza: „Nadludzki wysiłek tych stu milionów ludzi w Europie, musi znaleźć albo cel w blasku zwycięstwa, albo utonął w oceanie krwi. Do nas (do Anglików — przyp. red.), należy decyzja co wybrać. Czy ośmielmy się zwlekać?”. Jak i Armitage, pisze: „Każdy dzień jest ważny. Każdy dzień znaczący śmierć ludzi najbardziej odważnych i niewinnych, którzy mogliby nam pomóc w naszych planach”.

Podobne wnioski wysnuwa też autor „Pall over Europe”, Oswald Dutsch: „Wzyna o Wielką Brytanię do uczynienia wszystkiego by przyspieszyć uwolnienie narodów kontynentu; raczej już dzisiaj niż jutro”.

„Być może, — stwierdza, — czas pracuje na nas. Nie możemy jednak na to czekać... Gdy narody Europy czekać nie mogą”.

Dutsch daje w swej książce syntezę tego co *naprawdę*, „tam” się dzieje. Daje doskonałą odpowiedź na wątpliwości, nurtujące czasem angielskiego czytelnika gazet. Daje znakomicie udokumentowany obraz życia i walki pod Hitlerem. „Niestety, — pisze, — nie z tego nie zostało zmniejszone, zmniejszone lub przesładowane. Spoza straszliwego, prawie zupełnie rozpaściwego opisu życia na kontynencie, widzimy prawdziwe oblicze setek milionów tych mężczyzn i kobiet”. I stwierdza dobitnie, wymienianych narodów, ludzi i organizację, które w rozmaitych krajach współpracują z najędźdźcą: „Z wyjątkiem „Volksdeutsche”ów, Niemcy nie potrafili znaleźć wogóle żadnych współpracowników w Polsce”.

przez Czechów, jest całkiem inny niż sabotaż polski. Stosunek do najędźdźcy, i odwrotnie, jest także inny. Polacy bowiem żyli przez wiele lat pod ciężkim jarzmem niemieckim i nielepym barbarzyństwem rosyjskim, podczas gdy Czesi przed r. 1914 podlegali raczej „a comparatively civilised kind of oppression”. „Nienawidzi Niemców do Polaków zawsze była większa niż do kogokolwiek innego”. Dlatego też autor „Sabotage” twierdzi, że Czesi, — nie tylko wiedzą jak odzyskać wolność, ale i jak się z nią obchodzić, gdy już jest zdobyta. Dlatego też wiedzą, lepiej od innych, jak organizować sabotaż... Niemcy bowiem nie boją się Czechów w takim stopniu w jakim boją się Polaków”.

Nie wiem, jakimi drogami naprawdę biegnie myśl autora, gdyż rozdział „Sabotage”, poświęcony Polsce, jest rozdziałem doskonałym, wstrząsającym. Ale tak mi to wygląda, jakby Wolff miał wrażenie, że Polacy, ginący na szubienicach i za kratami więzień, czynią to z prawdziwie polskim, reakcyjnym okrzykiem na ustach: „Niech żyje Polska! Niech żyje wolność!”, podczas gdy czeszy sabotażyści, umierając, wznoszą okrzyk prawdziwie demokratyczny. „Niech żyje Czechy! Niech żyje wolność!”. Innej różnicy nie widzę, a jeśli nawet istnieje jakaś, na naszą korzyść, to dla świętej zgody między sprzymierzonymi widzieć jej nie chcę.

W konkluzji książki autor stwierdza: „Nadludzki wysiłek tych stu milionów ludzi w Europie, musi znaleźć albo cel w blasku zwycięstwa, albo utonął w oceanie krwi. Do nas (do Anglików — przyp. red.), należy decyzja co wybrać. Czy ośmielmy się zwlekać?”. Jak i Armitage, pisze: „Każdy dzień jest ważny. Każdy dzień znaczący śmierć ludzi najbardziej odważnych i niewinnych, którzy mogliby nam pomóc w naszych planach”.

Podobne wnioski wysnuwa też autor „Pall over Europe”, Oswald Dutsch: „Wzyna o Wielką Brytanię do uczynienia wszystkiego by przyspieszyć uwolnienie narodów kontynentu; raczej już dzisiaj niż jutro”.

„Być może, — stwierdza, — czas pracuje na nas. Nie możemy jednak na to czekać... Gdy narody Europy czekać nie mogą”.

Dutsch daje w swej książce syntezę tego co *naprawdę*, „tam” się dzieje. Daje doskonałą odpowiedź na wątpliwości, nurtujące czasem angielskiego czytelnika gazet. Daje znakomicie udokumentowany obraz życia i walki pod Hitlerem. „Niestety, — pisze, — nie z tego nie zostało zmniejszone, zmniejszone lub przesładowane. Spoza straszliwego, prawie zupełnie rozpaściwego opisu życia na kontynencie, widzimy prawdziwe oblicze setek milionów tych mężczyzn i kobiet”. I stwierdza dobitnie, wymienianych narodów, ludzi i organizację, które w rozmaitych krajach współpracują z najędźdźcą: „Z wyjątkiem „Volksdeutsche”ów, Niemcy nie potrafili znaleźć wogóle żadnych współpracowników w Polsce”.

3) Pall over Europe by Oswald Dutsch. Londyn, Victor Gollancz, 1942; str. 144.

MIECZYSLAW ŚCIEŻYŃSKI.

“V for Victory”

Upadek Francji postawił propagandę brytyjską, z B.B.C. nacele, wobec niezwykle trudnej sytuacji.

Utrata sprzymierzonej radiofonii francuskiej rzuciła ciężar wojny w eterze na barki radia brytyjskiego. Trzeba było znaleźć, iż zabrano się ono do dzieła z taką samą determinacją, z jaką R.A.F. rzucił się na Luftarmadę Göringa.

Kiedy minęła krytyczna jesień i zima 1940 r., a z nią bitwa, którą Lord d'Abernon nazwałby zapewne „dwudziestą decydującą w dziejach świata”, gdy niebezpieczeństwo najazdu straciło nieco ze swej grozy, radiofonja brytyjska i sprzymierzona zyskała argumenty, które pozwoliły im stopniowo przejąć inicjatywę w wojnie nerwów.

Pierwszą akcją ofensywną radiofonii sprzymierzonych było rozpoczęcie kampanii propagującej znak V.

Kampanię tę przeprowadzono planowo i systematycznie, ale u samego jej źródła leży przypadek.

W styczniu 1941 r. kierownik oddziału belgijskiego B.B.C., Victor de Laveleye, zastanawiał się nad zagadnieniem znalezienia symbolu czy sloganu, wyrażającego waleczny opór całego narodu belgijskiego. Zagadnienie to było o tyle trudne, iż chodziło tu o naród zwycięzcy. Zmusiło go to do szukania rozwiązania jak najprostszego. Po paru dniach namysłu doszedł do wniosku, że symbolem, wyrażającym waleczność zarówno Flamandów jak Walonów, symbolem prostym i łatwym do kreślenia nawet w ciemności, rozpoczynającym słowo „zwycięstwo” po francusku, a „wolność” po flamandzku („victoire”, „vrijheid”), byłaby poprostu litera V.

Do 14 stycznia de Laveleye wesał swych redaktorów do rozpowszechniania tego znaku przez pisanie go gdzie się tylko da, by przypominać w ten sposób współrodakom, że chwila wyzwolenia nadejdzie ze zwycięstwem sprzymierzonych, a okupantem wbiwając w pamięć groźne memento.

„Niech okupant, — powiedział de Laveleye — widząc ten znak, zawsze ten sam, powtarzany bez końca, na każdym kroku, zrozumie, że jest otoczony olbrzymim tłumem obywateli niecierpliwie czekających pierwszych chwil jego słabości, pierwszego potknięcia się... Dla nas niech będzie to znak wiary i wytrwania, dla Niemców ich złowrogi „manne, mekel, fahres”.

Apel ten miał zdumiewające powodzenie, które przewyższyło znacznie oczekiwania inoizatorów.

Mury, chodniki, taksówki i autobusy Brukseli zaczęły w szybkim tempie pokrywać się znakami V. W ciągu stycznia znak ten obiegł całą Belgię, w lutym przedostał się do północnej Francji i Holandii.

Reportaży, nadchodzący z Francji, podsunęli sekcji francuskiej B.B.C. myśl by ująć te spontaniczne akcje w ramy bardziej systematyczne. Dn. 22 marca Francuzi nadali specjalne słuchowisko, w ramach audycji „Francuzi mówią do Francuzów”, poświęcone symbolowi V. Następnego dnia Murzy Marsyli pokryły się tym znakiem. To samo stało się w szeregu innych miejscowości. Na miasto Moulins władze niemieckie nałożyły ktrybucję w wysokości 400 000 fr za uprzedzanie odnawiania zamalowanych napisów. Dn. 2 kwietnia kontrolowane przez okupanta „Radio Paris” zapowiedziało, że właściciele i mieszkańcy budynków będą karani grzywną za nieusuwanie „provokacyjnych napisów na ścianach”, a przeciwko osobom, robiącym takie napisy, wszczęte zostanie dochodzenie.

We Francji okupowanej nauczycieli szkół obarczono odpowiedzialnością za niewywołanie przez uczniów kredy z pomieszczeń szkolnych.

Właściciele „Hôtel du Roi René” w Aix-en-Provence, gdzie na wiosnę 1941 r. mieściła się siedziba niemieckiej komisji rozbrojeniowej, zmuszono do wyznaczenia specjalnego człowieka celem usuwania „provokacyjnych znaków” z ścian hotelu*).

*) Szczegóły te zaczerpnąłem z książki Charlesa Rolo „Radio Goes to War”, do której odsyłam czytelników bliżej zainteresowanych się akcją B.B.C.

Spotykaj się ze swymi przyjaciółmi w PRINCES RESTAURANT PICCADILLY
Doskonała kuchnia i przyjemny nastrój
Wielki wybór deserów
Dancing
Johnnie Claes and His Clae Pigeons oraz Denis Walton and His Orquesta Cubanos

Komitet Zarządzający OGNIKA POLSKIEGO podaje do wiadomości, że urządzi w każdą sobotę o godz. 18.30 w budynku OGNIKA przy Belgrave Square, 45, Londyn, S.W.1, wieczorki dla wojska, lotnictwa i marynarki. Na wieczór składają się: część muzyczna, wspólna kolacja i zebranie towarzyskie.
Na wieczorki te zarząd Ogniiska Polskiego zaprasza wszystkich żołnierzy, lotników, marynarzy i ich przyjaciół. Wstęp bezpłatny.

STRATTON STREET PICCADILLY, W.1.
Phone: MAYfair 7807-9
LE COQ D'OR RESTAURANT
MAISON FRANÇAISE
Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

Sprzedajemy **MASZYNY DO PISANIA** z polskimi literami
Naprawiamy tanio, szybko i dobrze, kupujemy, zamieniamy i wynajmujemy.
AJAX TYPEWRITER CO.
12, Hampstead Road, N.W.1 naprzeciwko kol. podz. Warren Street. tel.: EUSTon 2774

L'ESCARGOT Bienvenu RESTAURANT
maison française
Partners: Geo Gaudin, Alex Gaudin (French)
Service à la carte
48, Greek Street, Shaftesbury Ave., London, W.1
Phone: GERard 4460

LONDON FLATS
37, Dorset Street (przy Baker Street), W.1
polica
umeblowane oraz nieumeblowane mieszkania i pokoje
tel.: WELbeck 3302

POLKI ODWIEDZAJĄ SALON FRYZJERSKI LUGI, 46, Buckingham Palace Rd., S.W.1
Mówi się po angielsku, francusku, włosku i niemiecku
Prosimy o zapowiedź telefoniczną pod VICTORIA 9508

W ciągu kwietnia, maja i czerwca w samym Paryżu wytoczono 6200 spraw przeciwko osobom kręcącym „provokacyjne znaki”. Dn. 8 maja ukazująca się w Paryżu „L'Emancipation Nationale” musiała przyznać, że „tzw. gaullicci wygrali bitwę napisów na ścianie”.

W tym samym mniej więcej czasie bitwa ta weszła w drugą fazę z chwilą ukazania się przed mikrofonem tajemniczego pułkownika Brittona.

Pułkownik Britton rozpoczął co piątek, w angielskim programie dla Europy, wydawać instrukcję dla dalszej kampanii. W ten sposób walka, dotychczas partyzancka, podjąłowa, dywersyjna, zyskała wodza.

Do końca czerwca 1941 r. prowadzono ją... przy użyciu jednego rodzaju broni propagandowej — znaku graficznego. Był on rysowany, malowany, wyskrobny, ale zawsze był to tylko znak apelujący jedynie do wzroku.

Dn. 27 czerwca zrobiono dalszy krok naprzód.

Tego bowiem dnia pułkownik Britton tłumaczył swym słuchaczom jak można dokonywać transkrypcji dźwiękowej znaku V na alfabet Morse'a, oraz przez podkreślenie zbieżności rytmu pierwszych taktów V (co za zbieg skojarzeń!) symfonii Beethovena („Los puka do drzwi”...).

Dn. 28 czerwca audycja „Francuzi mówią do Francuzów” zawierała specjalne słuchowisko, w całości zbudowane na dźwiękowej transkrypcji znaku V.

Słuchacze otrzymali tam szereg sugestii, w których przykładach jak każdy niemal dźwięk życia codziennego może być przekształcony na symbol zwycięstwa: pianie koguta, dzwon kościelny, kowal kujący żelazo, nauczyciel zwołujący uczniów do szkoły, klient woliący subiekta czy kelnera i t.d. i t.d.

Kampania osiągnęła punkt szczytowy gdy premier Churchill, sam gorący zwolennik symbolu V, którym odpowiada na podrozwienia tłumy, z okazji ogłoszonej przez pułkownika Brittona „mobilizacji armii zwycięstwa, legitymującej się znakiem V”, przesłał okupowanemu kontynentowi orędzie, w którym powiedział:

„Znak V jest symbolem niezłomnej woli ludów okupowanej Europy i Wielkiej Brytanii walki aż do zwycięstwa, a zapowiedzią czekającego niemieckich tryanów końca. Skoro ludy Europy konsekwentnie odmawiają współpracy z najędźdźcą, los jego jest przesądzony, a Europa doczeka się wyzwolenia”.

W ciągu wiosny 1941 r. znak zwycięstwa przeniknął do Europy środkowej i na Bałkany.

Jeszcze bardziej niż jej inicjatorzy, wzrostem kampanii zaszczytowany został niewątpliwie sam Goebbels. Nie zdając sobie początkowo sprawy z jej utajonej dynamiki i z składowych w niej możliwości, Goebbels postanowił ją ignorować. „Pomnięszając, bagatelizując, lekceważąc” — tak wyrażała się jego postawa w pierwszym okresie rozgrywek. Potem przyszła kolej na represje czysto administracyjne. Ale rozwój kampanii zmusił go do zmiany taktyki i do przeciwdziałania na płaszczyźnie propagandowej. I tu zastosował on swój stary chwyt, tak często używany w okresie walki o władzę w Rzeszy. Polegał on poprostu na przejęciu broni przeciwnika i odwróceniu jej przeciwko niemu (np. święcenie przez narodowych socjalistów pierwszego maja). Gdy Goebbels widział, że jakieś hasło czy slogan jest istotnie bardzo groźny, nie tylko nie rozpoczynał z nim walki, lecz przeciwnie, przejmował je do swego repertuaru, odwracał, lansując je następnie ze zdwojoną energią, starając się otrzymać rozstrzygnięcie przez intensywność swojej akcji.

Tę samą taktykę postanowił zastosować i do znaku V.

SLOane 1537
JANE AND JUDY
 SPECJALIZUJĄ SIĘ W PRZERÓBKACH
 Przeróbka sułtanów, płaszczy, kostiumów, kapeluszy, bielizny
 Szycie z powierzonej im materii i chętnie poddają do nawet z
 Miałe nie po francusku, po niemiecku i po hiszpańsku
36, WILTON PLACE, KNIGHTSBRIDGE, LONDON, S.W.1

KLUB LES AMBASSADEURS

zawiadamia swych członków o przeniesieniu lokalu na
12-14, MAYFAIR PLACE (róg Stratton St.), W.1.
 Tel.: MAYfair 0567 i 0221. Sekretariat: GRO 1230.

Targ o Włochy

ISTNIEJĄ LICZNE ANALOGIE POMIĘDZY POŁOŻENIEM FRANCJI Z CZERWCA 1940 A WŁOCH W CHWILI OBECNEJ. Nietrudno dostrzec te podobieństwa: Rzeczy grozi odpadnięcie sojusznika, jak groziło Wielkiej Brytanii; Badoglio próbuje roli Pétaina; flota włoska stanowi podobny znak zapytania jak ongi flota francuska. Ale są różnice: armia niemiecka parła gwałtownie, a nie armia sojusznika, naród włoski okazuje mimo wszystko więcej hartu i zwarości aniżeli Francuzi, Badoglio ma w ręku więcej kart aniżeli Pétain i dlatego może grać dużej aniżeli wykonywać marszałek Francji. We Francji runęła Trzecia Republika, i powstało widmo rządów autorytaryzmu; we Włoszech proces jest akurat odwrotny, chociaż do rozluźnienia popęgów życia politycznego Włoch jest jeszcze daleko.

Sedno zagadnienia jest również inne: dla Wielkiej Brytanii usunięcie się z wojny Francji stanowiło cios, który nie tylko pozostawił ją samą na placu, ale zmusił do całkowitego „przeredagowania” schematu wojny i zwycięstwa. Z tego jednak właśnie przesunięcia wojny na inny plan, zamienienia jej z wojny europejskiej w wojnę światową, Wielka Brytania zaczęła planować, oddech, nadzieję; poczęła planować wojnę na własną skalę i własne możliwości: powolne ale pewne. Gdy chodzi o Niemcy, proces jest odwrotny: zachwianie się Włoch sprawia, że Rzecz jeszcze bardziej zacięnia swoje pole walki, że jej obszar działania kurczy się. Jeszcze niedawno Rzecz wychodziła zwycięsko ze swego lądowego skrepowania, próbowała nadawać wojnie charakter konfliktu międzylądowego, międzykontynentalnego. Dzisiaj inicjatywą niemiecką kurczy się do granie Europy a niebawem może skurczyć się do granic poszerzonej Rzeczy.

WYDAJE SIĘ, ŻE BADOGLIO NIE ZAPOMNIAŁ LEKCJI POKONANEJ FRANCJI. W tragedii francuskiej dojrzał on takie objawy: Hitler wolał mieć do czynienia z jakimkolwiek „rządem” francuskim niż z rozhuśtaną rewolucyjnie Francją. Wolał układy z rządem Pétaina aniżeli całkowitą okupację Francji. Gdyby ruch rewolucyjny ogarnął Francję, rzucenie wojsk w celu zdławienia go mogłoby stać się przedsięwzięciem ryzykownym. Badoglio rozumie, że sojusznicy wolał mieć we Włoszech jakiś rząd, aniżeli zamęt rewolucyjny. Posuwanie się przez kraj objęty rewoltą jest przedsięwzięciem niebezpiecznym: jeżeli trzeba będzie tu i tam tłumić rewolucję w interesie porządku, ścigać na siebie nieprzejmowany zarzut „czarnej reakcji”, poskromienie głosu ludu i t.d. Z drugiej strony Badoglio zdaje sobie sprawę, że i Hitler niebawem może rzucić dywizję dla wspomnienia Włoch. Posyłanie wojsk do kraju, który nie ma wielkiej ochoty do walki, jest wyzwyaniem losu: armie mogą ugrzęznąć w bagnie defetyzmu, mogą ulec zupełnej demoralizacji. Hitler rozumie niebezpieczeństwo takiego kroku.

Badoglio przypuszcza, że siły, jakimi sojusznicy operują na Sycylii, obracają się w granicach do 250 000. Uważa on, że nawet

GARLICKA STEFANIA, Polish Delegation, Nairobi, East Africa, poszukuje męża inż. Tadeusza Garlickiego, aresztowanego we Lwowie w listopadzie 1939 r., wywiezionego w maju 1941 r. do Starobielska.

3 popularne restauracje z prawem wyszynku

BERTOPELLI

19, Charlotte Street, London, W.1
 tel. MUSEum 4174

70-72, Queensway, London, W.2
 tel. BAYwater 3160

23, Shepherd's Bush Gn., London, W.12
 tel. Shepherd's Bush 2662

聚英酒樓

CHOY'S

CHŃSKA RESTAURACJA

26-28, Dean St., SOHO, London, W.1
 tel.: GERard 6086

otwarta codziennie od 12-10 wiecz.

w soboty i niedziele od 12-10.30 wiecz.

W poprzednim numerze (178) „Wiadomości Polskich” (3 ilustracje): Zbigniew Grabowski: Wielka gra. — Władysław Broniewski: Wiersze jerozolimskie: Rady dla turystyki w Jerozolimie. Róża Saronu. Via dolorosa. A kiedy będzie umierać. Damskiele. Sciana placu. Mój pokój. — Janusz Łaskowski: Żniwa zbrodni. — Stanisław Stróżński: O jednośladach. — Zygmunta Nowakowski: Groby w Weronie. — ap.: Amerykanin o Z.S.R.R. — ab.: Miary i wagi. — General Sosnkowski. — Prawda Września. — Miscellanea.

GOSPODA POLSKA

właściciel St. Józwiak

449, Oxford Street, W.1
 (naprzeciwko Selfridgesa)

WYBORNA POLSKA KUCHNIA

Restauracja **CHEZ AUGUSTE**

Kuchnia francuska

Kierownictwo francuskie

38, Old Compton St., W.1, tel. GER 2665

otwarta w niedziele

RESTAURACJA CHŃSKA

z prawem wyszynku

LING NAM

15-16, GERRARD STREET, W.1

Otwarta od godz. 12 do godz. 10 w nocy
 W soboty i w niedziele do godz. 10.30

MISCELLANEA

9 PUNKTÓW DLA NIEMIEC

Patrick Kirwan podkreśla w „Evening Standard” z dn. 30 lipca, że propaganda sprzymierzonych w stosunku do Niemców powinna skoncentrować swe wysiłki na wytłumaczeniu im następujących 9 punktów.
 1. Zbrodniarstwo, odpowiedzialność za mord, derstwa, podpalenia, gwałty i kradzieże, nie będą mogli zasłaniać się tłumaczeniem o konieczności wojkowej.
 2. „Niewyciężona” armia niemiecka została pokonana w polu przez lepszych żołnierzy, potomków żołnierzy, którzy zadali im klęskę dwadzieścia pięć lat temu.



„Daily Express” zamieścił mało znaną fotografię Mussoliniego jako skrzypka

3. Po raz drugi w ciągu jednego pokolenia zawodowe naczelnie dowództwo niemieckie wykazało, że nie potrafi wygrać długiej wojny i że zawsze będzie pokonane przez „idiotów wojskowych”.

4. W nowoczesnym świecie niema „szybkich i wesołych wojen”. Wszystkie wojny muszą być długotrwałe i toczyć się na skalę światową.

5. Wielki człowiek, który trzymając w jednej ręce system filozoficzny, a w drugiej pałkę gumową, przyrzeka zabicie, jest niebezpiecznym szaleńcem i należy go jak szaleńca traktować.

6. Metody koszarowe nie wystarczą do stworzenia zdyscyplinowanych obywateli, a odwaga cywilna ma większe znaczenie od wojkowej.

7. Odpowiednia sprawa wolności nie jest marzeniem poety, lecz faktem historycznym.

8. Nienawiść rasowa jest zbrodnią przeciw ludzkości, antysemityzm zaś — najwęższą hańbą stworzoną przez niegodne umysły.

9. Nie może być odpuszczenia grzechów, jeśli ich wyznani nie towarzyszy mocne postanowienie poprawy.

O ZAKŁADNIKÓW NIEMIECKICH

„Sunday Dispatch” z dn. 25 lipca wysuwa plan ocalenia ludności krajów okupowanych przed dalszymi mordami niemieckimi. Plan ten polega na uznaniu całej ludności cywilnej Rzeczy za zakładników odpowiedzialnych za zachowanie się wojsk niemieckich. Sprzymierzeni powinni, zdaniem pisma, zapowiedzieć, że za każde morderstwo na zakładnikach w krajach okupowanych, jedna z miejscowości niemieckich będzie zrównana z ziemią przez lotnictwo. Takie postawienie sprawy — pisze „Sunday Dispatch” — wzmożiłoby wojsk obywateli państw okupowanych, którzy torują drogę dla nadchodzącego najeźdźcy.

VANSITTART O „WOLNYCH NIEMCACH”

W „Times” z dn. 27 lipca ukazał się list lorda Vansittarta w sprawie komitetu „wolnych Niemców”, zorganizowanego niedawno w Moskwie. Vansittart podkreśla, że wielu Brytanyków nigdy nie zgodzi się z programem tego komitetu, np. z artykułem, przewidującym amnestię dla tych zwolenników Hitlera, którzy opuszczą go po przebiegu dziesięciu lat okupacji. Komitet ten jest „młglistą i nieręcznieciągniętą organizacją — jest on fikcją”. W związku z twierdzeniem „New York Herald Tribune”, że „Wolni Niemcy” są objawem sowieckiej polityki zagranicznej, Vansittart pisze, że ma lepsze wyobrażenie o polityce Rosji.

„WOLNI” NIEMCY A „WOLNI” POLACY

Omawiając utworzenie Narodowego Komitetu Wolnych Niemców w Moskwie, „Tablet” z dn. 31 lipca pisze, że fakt ten zupełnie zaszkodził Wielkiej Brytanii i Ameryce. „Cała ta impreza zorganizowana była, jak się zdaje, w ścisłej tajemnicy, którą władze sowieckie lubią otaczać wszystko co robią a która jest jaskrawo sprzeczna z ideą współpracy i wzajemnego porozumienia, zawartą w oświadczeniu „Narodów Zjednoczonych”.

Zdaniem pisma, nastawa się oczywisty wniosek, wysnuty już zresztą przez Amerykanów, że Rosjanie, uważając nagłe zalamanie się Niemiec za możliwość, „pragną mieć gotowy swój własny wariant, na wypadek gdyby nowy rząd niemiecki był antykomunistyczny”. Łatwo dostrzec w Narodowym Komitecie Wolnych Niemców pewne podobieństwo do „Wolnych” Polaków Wandy Wasilewskiej. Prawda, że program komitetu niemieckiego jest, jak to określa „New York Herald Tribune”, „niepoprawnie demokracjonalny i kapitalistyczny, ale to samo można powiedzieć o programie Wandy Wasilewskiej”.

HITLER I KAMAGAZYN WŁOCH

W amerykańskim magazynie „Look” z dn. 29 czerwca ukazał się interesujący artykuł Pierra van Paassena, który twierdzi, że naczelnie dowództwo niemieckie nie zamierza bronić Włoch i pragnie by Rzym zawarł drogą rokowań pokój z narodami zjednoczonymi. Autor twierdzi, że „europejska forteca” Hitlera składa się z Niemiec, Francji, Europy Środkowej, Polski, Holandii, Belgii, Danii i Norwegii. Wszystkie pozostałe państwa, obecnie pod władzą niemiecką, będą opuszczone i siły Rzeczy zostaną skoncentrowane wewnątrz fortecy, której bronić będą dostatką (por. mapę).

Naturalna linia obronna tej fortecy — pisze van Paassen — biegnie wzdłuż Alp i Hitler zamierza wycofać się na tę linię. Twierdzenie to jest jednak sprzeczne z panującą obecnie poglądem, że Niemcy muszą za wszelką cenę starać się utrzymać w swych rękach północne Włochy, gdyż gdyby sprzymierzeni zorganizowali tam swe bazy lotnicze, bombardowanie ośrodków przemysłowych Rzeczy zmogłoby się co najmniej dwójnasób, przyczem najodleglejsze zakątki znalazłyby się w zasięgu bombowców sprzymierzonych.

„Zeitung” z dn. 30 lipca dowodzi, że jest rzeczą wykluczoną, żeby upadek Mussoliniego i systemu faszystowskiego mógł zaszkodzić Hitlerowi.



Zaciemnione miejsca wskazują, dokąd sięgały granice podbojów Hitlera. Według Paassena (por. notatkę w tekście), trójkąt obejmujący obszar, którego Hitler będzie musiał bronić.

HOLLYWOOD O ROSJI

Mimo kampanii reklamowej, prowadzonej z dużym rozmachem, film „Mission to Moscow” („Submission to Moscow” — nazywa go amerykański „New Leader”) nie spotkał się z wielkim uznaniem opinii



— Zobaczyć, jak za chwilę będzie szalał: jestem brzuchomówcą.

publicznej. W „Tribune” z dn. 23 lipca ukazał się list p. A. B. Elsbury, który przytacza szereg nader krytycznych głosów amerykańskich. Tak więc znany publicysta i „spee” od spraw rosyjskich Louis Fischer pisał w „Los Angeles Times” z dn. 28 lutego, że „jeśli Hollywood w filmie, opartym na książce byłego ambasadora Daviesa, powtórza zawarte w niej oskarżenia, iż generałowie rosyjscy, którzy padli ofiarą czystki w r. 1937, winni byli spiskowania z Niemcami i Japończykami, wytwórnia filmowa stanie się odpowiedzialna za skandaliczne przeinaczanie historii i skrzywdzenie narodu rosyjskiego”.

Znany pedagog amerykański John Dewey, który był przewodniczącym międzynarodowej komisji do badania procesów moskiewskich, oświadczył na łamach „New York Times” z dn. 9 maja, że „film ten jest przykładem propagandy, która fałszuje historię, przeinaczając jedne fakty, a pomijając lub zmyślając inne”.

Na zakończenie listu do „Tribune”, p. Elsbury pisał, że „są pewnie zbrodnie, które nie powinny uciec płazem nawet ludziom z Hollywood”.

„Tribune” z dn. 30 lipca zamieściła recenzję z filmu p. Janet Greene, która zwraca uwagę, że „Mission to Moscow” jest próbą przedstawienia prawdy w sposób tak prosty, iż największy głupiec mógłby ją zrozumieć. „Prawda nie jest jednak tak prosta. Nie można przedstawiać skomplikowanej historii Europy i wewnętrznego rozwoju Rosji sowieckiej oraz jej stosunków z resztą świata w sposób tak naiwny, gdyż zamiast obrazu prawdy, otrzymujemy propagandę sztygą grubymi niemiatami”.

Recenzentka zapytuje: „Dla czego wykreślano niebezpieczne procesy moskiewskie i przedstawiono je w sposób tak wyjątkowo naiwny? Dla czego każą mi wierzyć, że istnieje tylko jedna alternatywa — albo uważać wszystkich przywódców sowieckich za świętych a wszelką politykę sowiecką za nieomylną właściwą, sprawiedliwą i przyzwoitą, albo też stać się punkiem Hitlera?”.

Takie fałszywe postawienie sprawy — pisze dalej recenzentka — „doprowadza mnie do rozpaczy. Zdrowy rozsądek buntuje się przeciw niemu. Nie stajemy się przecież zdrajcami naszego własnego kraju jeśli odnośmy się krytycznie do naszych przywódców... Dla czego mamy być zaślepieni w stosunku do Związku sowieckiego i bezkrytycznie przyjmować wszystkie wersje urzędowe jak gdyby były one słowami Ewangelii?... Nie dopomóżcie to sojusznicy między naszymi dwoma państwami — przeciwnie, jest to dla tego sojuszu niebezpieczne. Trwały sojusz, taki musimy zorganizować, może być oparty tylko na wiedzy i zrozumieniu — nie zaś na bałwochwaltwie; na sympatii i tolerancji — nie zaś na ślepej i niewiedzy uwielbieniu ludzi a nawet filmów”.

„New Leader” z dn. 31 lipca również oburza się na wersję procesów moskiewskich, przedstawioną w filmie Daviesa, i podkreśla jej fałszywość. Pismo uważa jednak, że film warto obejrzeć, gdyż wynika z niego iż stosunki w Sovietach utwierdziły Daviesa w wierze w kapitalizm i indywidualizm. „Przekonał się, że komunizm porzucono i że rosnie tam uprzywilejowana klasa ludzi, którzy mają dochody i korzystają z luksusu oraz przywilejów odbiegających daleko od życia mas. Wynika to jasno z tego filmu, który opuszcza jedną rzecz — „prostego człowieka”; tego „prostego człowieka” widzimy tylko w masie, maszerującego wszędzie posłusznie według rozkazów przełożonych, biurokratów i dyktatorów”.

„Daily Mail” z dn. 23 lipca określa „Mission to Moscow” jako „obronę Rosji przed dawną zapomnianą oskarżeniem i bardzo wymowny dokument niezmiernie naiwności i ignorancji amerykańskiej w dziedzinie polityki zagranicznej”.

Davies, jak wynika z tego filmu, — czytamy dalej, — był prorokiem, wobec którego schować się mogą wszyscy próbczy biblijni. Przewidział on plany Hitlera, brytyjską politykę ustępstw, niemiecko-rosyjski pakt nieagresji i zdradę Japonii. Recenzent ostrzega publiczność aby film nie brała poważnie. Także recenzent „Observer” (a numer z dn. 25 lipca) miał szereg wątpliwości po obejrzeniu filmu Daviesa. Wszystkie uwagi o Wielkiej Brytanii są nieodpowiedzialne. A poza tym, czy Davies rzeczywiście rozwiązał zagadkę rosyjską? „Czy osławione procesy moskiewskie rzeczywiście tak się odbywały? Czy Niemcy, Japonia i Wielka Brytania

KORESPONDENCJA

PRZESTARZAŁY SPRZĘT I DANINA KRWI

Do redaktora „Wiadomości Polskich”

Aby wrześniowa nauka i jej francuska powtórka w las nie poszły, proszę Pana Redaktora o powtórzenie w druku następujących fragmentów kapitalnego artykułu Jana Kamińskiego p.t. „I-a dywizja grenadierów w kampanii francuskiej” („Polska Walcząca”, nr. 26). Dodaje tylko podtytuły.

Stan przygotowania.

„Pomimo niekompletnego i przestarzałego sprzętu, dywizja z dnia na dzień staje się jednostką coraz bardziej wartościową”.

Egzamin gotowości bojowej.

„Pamiętamy defiladę na szosie Nancy-Neufchâteau... „Z każdego pułku piechoty wzięli udział w defiladzie tylko dowódcy pułków ze sztabami i po 1 baonie”... „pierwszy egzamin wypadł pomyślnie”... „Dowódca dywizji... odbierał nieskończone gratulacje”.

Skutek egzaminu.

„Defilada spowodowała wyraźną zmianę nastawienia wśród oficerów francuskich”... „gen. arm. Requin... powiedział: „Przecież to pierwszorzędna dywizja”... „Nie więc dziwnego, że już... w osiem dni po defiladzie przesunięto 1-a Dywizję na zaplecze linii Maginot”.

Ostateczny wynik.

„48 oficerów i ponad 1000 szeregowych zabitych, oraz 4300 rannych”.

Pociecha.

„Zapłaciłmy za to drogo, to prawda, lecz my Polacy — płacimy tę ogromną daninę krwi od wieków i to zawsze w imię sprawy słusznej i zawsze w imię obrony honoru”.

JAN PRZEDCZERSKI

Z. J. w Edynburgu. Przesłaliśmy autorowi.

S. Cz. w Plymouth. Przesłaliśmy autorowi.

S. M. w Chicago. Dziękujemy za pamięć.

Wł. P. Na bałwochwaltwo niema rady.

S. L. w Tangerze. Niestety, nie będziemy mogli skorzystać; przesłaliśmy autorowi.

K. L. Z artykułu nie skorzystamy.

S. B. w Midhurst. Ma Pan zupełną służność; niestety, nasze czyniki kompetentne, zajęte rozgrywkami personalnymi, nie mają czasu na takie drobiazgi.

T. P. w Blackpool. Z nadesłanych utworów nie skorzystamy; ocen się nie podejmujemy.

Ant. B. w Wellington. Z wierszy nie skorzystamy.

J. Z. z nadesłanych utworów nie będziemy mogli skorzystać; prosimy o dalsze, za miłe słowa dziękujemy.

Dr. K. w Edynburgu. Artykuł, z którego nie skorzystaliśmy, został przesłany Ksaweremu Pruszyńskiemu.

LISTY, LISTY, LISTY !...

Pragnę przeprosić czytelników, którym nie odpowiadam na listy. Był czas, że miałem siły i zdrowie, by załatwiać skrupulatnie i szybko całą korespondencję, napływającą pod moim adresem, obecnie jednak a raczej od dość dawna, nie potrafię odważyć tej ogromnej pracy. Sierdy całe listów, pisanych zarówno w sprawach prywatnych, jak publicznych, piętrzą się na stole, na kanapie, na fotelach, i przynajmniej mój smutek ciężarem. Jest w tej korespondencji wyraz pewnego zaufania, które u mnie sobie cenić bardzo trudno, jednakże nie dam rady. Będę starał się odpowiedzieć na część listów, ale co do reszty wyrażam wątpliwość, czy zdołam przed śmiercią zlikwidować tę robotę. Cały personel redakcyjny składa się z 2 (słownie dwóch) ludzi, niechże czytelnicy więc nie mają do mnie pretensji. W szczególności nie podejmuję się przeczytać wielu prac nadsyłanych do oceny czy do dokonania poprawek stylistycznych. Sorry!

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

NIE BYŁO ZŁOTEJ SZABLI

W związku z zakończeniem artykułu Zygmunta Nowakowskiego „Polityka na wynos” w nr. 179 „Wiadomości Polskich”, prof. Stanisław Grabski ogłosił w „Dzienniku Polskim” z dn. 30 lipca list, w którym m. in. stwierdza:

„Ani hr. Bobryńskiemu, ani żadnemu generałowi, dygnitarzowi, czy politykowi rosyjskiemu nie ofiarowywałem, ani nikt w mej obecności, a choćby tylko za moją wiedzą, nie ofiarowywał jakiegokolwiek szabl, czy jakiegokolwiek daru lub upominku honorowego, ni dziękczynnego”.

PAMIĘĆ SIKORSKIEGO

Pożyteczny tygodnik „Voice of Poland” wydał jednodniówkę w języku angielskim, poświęconą pamięci gen. Sikorskiego. Składa się na nią 90 fotografii, dotyczących działalności gen. Sikorskiego w latach 1939-1943.

O TYTUŁ ARTYKUŁU

Prof. Olgierd Górka prosi o zaznaczenie, że pierwotny tytuł artykułu jego w nr. 177 „Wiadomości Polskich” brzmiał: „Garść wspomnień o ś.p. gen. Władysławie Sikorskim”. Zmianę tytułu zaproponowała redakcja.

NOWA BROSZURA MACKIEWICZA

Ukazała się nowa broszura Stanisława Mackiewicza (Sata) p.t. „Po zgonie ś.p. gen. Sikorskiego i upadku Mussoliniego”. Na trochę broszury składają się następujące artykuły: „Ś.p. generał Władysław Sikorski”, „System Sikorskiego bez Sikorskiego”, „Listek figowy”, „Teatrzyk kukiełek partyjnych”, „Wiadomości” o „Kluczu do Pilsudskiego”, „Notatki polemiczne”, „Nowe książki”, „Mussolini”.

WPISY DO LICEUM HANDLOWEGO

Dyrekcja Państwowego Liceum Handlowego im. Henryka Bruna w Glasgow przyjmuje zgłoszenia do klasy I licealnej w terminie do dn. 1 września 1943 r. Blizszych informacji udziela Polish Commercial College, 34, West George Street, Glasgow, G.2.

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Koln (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C.2; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C.1.

SKARBNIKA POLSKA

KAROL BALIŃSKI

NARÓD I POEŹI*

Każdy naród jęczący w niewoli, jeżeli nie skończył duchowo, ma dwa zupełnie sprzeczne oblicza.

Jedno — bezdusne, martwe, skrzywione tylko czasami uśmiechem, jakim niewolnik wykrzykuje vivat swemu panu — i tem obliczem obraca się do wrogów: drugie — pełne myśli, uczucia i miłości boleści. — a odslania je tylko swoim ulubionem — poetom. Jedno — ciagle spokojne, rzechy można — zwierzęce głupotą; drugie — ciagle ruchome od tajemnych duszy konwulsji. — Kto się w to oblicze zapatrzył — kto je przeniknął do głębi — kto się w tem ogromnem a milejącem jego cierpieniu rozkochał, ten już mimowoli nawet staje się odbiciem narodu, ową kropelką, w której się cały świat narodowy odzwierciedla, staje się poetą słowem lub życiem — albo i słowem i życiem.

Dlatego też nie pojmie poety, kto nie zna historii jego narodu — i nawzajem, nie pojmie narodu, kto nie rozumie narodowych poetów.

To do tyle jest prawda, że możnaby napisać historię narodu, dobywając ją z samych pieśni narodowych.

Bo jeśli widzisz ty na pieśni — bądź pewny, że naród wtedy płakał; jeśli widzisz krew — bądź pewny, że wtedy krew wylała; jeśli śmiech sztychów — bądź pewny, że wtedy, rozpaczal i wapił; jeśli gramot i jasność — że wierzył i powstał.

Niemasz silniejszej magnetyczności, niemasz potężniejszej władzy przyciągania, niż sobie, niż ból niemy — ból bez jęków — bez słów nawet — ból, którego ogromu tylko domyślać się trzeba, tak się ukrywa troskliwie. — Jest jakaś nadszalska wielkość w takiej boleści.

Takim bolem cierpi Polska — i tem właśnie wytłumaczyć się daje taka obfitość u nas prawdziwych narodowych śpiewaków.

Dziwnież to a ogromnie piękne, to życie naszej ojczyzny w grobie!

Ktoż nie zna legendy o św. Janie Nepomucenie, owym patronie Słowiańszczyzny? — Na miejscu, gdzie go utopiła ręka króla — nad grobem jego — Bóg zesłał gwiazdy, aby świeciły i dawały znak ludziom, że tu spoczęwa święty męczennik; — tak samo nad chwilowym grobem naszej matki-męczennicy Bóg zapalił gwiazdy narodowe, poetów — i kazał im świecić.

A ileż to w tym grobie odegrało się i odgrywa dotąd dramatów tajemnych a szczytnych! — dlatego też na niebie dzieł naszych mleczna droga wraz się powiększa — rozszerza — boć co chwila prawie przybywa nowa gwiazda, nowy męczennik, nowy poeta!

Naród nasz w swojej ciemnicy wiekowej byłby zmarniał i znikł, gdyby nie te gwiazdy wskazujące nam drogę — i dlatego właśnie kocha swoich śpiewaków, swoich jedynych przewodników i nauczycieli.

Naród nasz kocha swoich poetów — bo u niego poeta, to człowiek, który kocha, cierpi, szaleje lub kona dla Ojczyzny — i tak wierzy w jego śpiewy, jak w jego wizerunek, męki, lub skon — Mickiewicz i Konarski u niego — to też są!

I biada temu, kto przed narodem śmie kłamać uczucia swoje! — biada temu, czyje życie sprzeczne z jego pieśnią! — niedługo naród daje się zwodzić — poznawszy kuglarza karze go okropnie pogardę i milczeniem.

Dlatego właśnie, że tak wielkie znaczenie przyznaje poezji, dziś nie nadaje jej imienia zbiorówi prac moich, które dziś wydaje na widok publiczny — byłoby to grubą zarzucianością — w takiej sprawie sędzia jest tylko naród, on tylko jeden wyrokować może.

Szanowni nasi trojeści sąsiadzi, twórcy naszej narodowej tragedji naszą krwią pisanej, nie mogli się utrzymać wielkiego bledu klasycznej sztuki dramatycznej — nie mogli zachować jedności miejsca. — Odgrywali ją jednocześnie prawie to w Galicji, to w Poznańsku, to w Wilnie, to w Warszawie; — dlatego też widownia jednej sceny nie mogła widzieć drugiej, trzeciej i czwartej. — Dopóty więc nie będziemy mieli dokładnego wyobrażenia o całej sztuce, o całej tragedji, póki widownia czy aktorowie nie zjedną się razem i nie powiedzą, co każdy widział lub odegrał.

W tej myśli wydaje dziś pisma moje — są one po większej części malowaniem wiernem, choć tylko cząstkowym, scen tej narodowej tragedji i ducha jej, nad brzegami Wisły zaczejcie, a za Włgą nad Rtysem kończcie.

Niech każdy z widzów lub aktorów też samo uczyni, a będziemy mieli historję naszą pogrobową, wstęp do historii naszego zmartwychstania.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że wszyscy trzej nasi sąsiadzi w tej samej działalności i działają myśli, t.j. w myśli zabięcia polskiego ducha; — bo czują, że jeżeli go nie zduszą, to on ich zdusi. — Ale nie jednakich trzymają się środków — i to podobno stanowi całą

między nimi różnicę. — Każdy z nich wysłał się jak może — jeden od drugiego przejmując co uważa za skuteczniejsze i dowiejniejsze — ale przy tem uduchem ma i własne, instynktowne, którego się trzyma — i od którego odstąpić nie może. — Nie tutaj miejsce zastanawiania się nad naturą rządów drażliwych — tu chcę tylko to powiedzieć, że u nas, w Polsce Kongresowej, inaczej objawiały się przesładowania — w Galicji inaczej — a u was znówu inaczej; — inną więc postać mieć musiało życie narodowe, choć ani lepszą, ani gorszą, ani smutniejszą. — Dla zrozumienia więc większej części moich pieśni, będących wiernym nadwilańskim Polski tajemnego życia odbiciem, potrzebne są objaśnienia; bez nich pieśni nie miałyby właściwej woli, którą miały w chwili gdy wychodziły na świat.

Leż to objaśnienia muszą być konieczne niedostateczne, boć oglądać się ciagle muszę na braci moich, niegdyś towarzyszy, zostających dotąd pod ręką moskiewskiego kata; każde nieostrożne słowo mogłoby, los ich pogorszyć.

Gdy pamiętacie powieść o owym wawelskim smoku, któremu Krakowianie składać musieli swych braci na pożarcie? — Wy myślicie, że to bajka! Oj! nie bajka to, bracia moi! — Ten smok, ten potwór dotąd jeszcze żyje — przemił się tylko do środka kraju wraz z jego stolicą — położył się przy sercu Polski, aby lepiej mógł strzyc bicia tego serca, którego tak pilnuje, że żadna myśl polska nie ujdzie jego wzroku ostrowidzowego.

A karni się jak dawniej krwią najczystsza, najdroższa, serdeczna, młodzieńcza — dlatego też jak upiór czerwony i zdala widny — a Wisła, skrepowana u nóg jego, dąsa się i szaleje, że go pochłoniąć nie może.

O! to nie bajka! jam go widział na własne oczy — i w jego wnętrzu jak ów prorok

izraelski we wnętrzu wieloryba, przemęczyłem najpiękniejsze lata mego życia. Bo potwór ten polyka żywem — a czyjego ducha nie strawi, to go wyrzuca daleko, daleko — to pod noże Czerkiesów — to pod jurty Kirgizów — to w kopalnie sybirskie — to pod szubienice moskiewskie. — On wiecznie niesyty, wiecznie pożera — a mazurska matka, codziennie budząc się ze snu, najpierw ze drżeniem rzuci wzrok na dzieci swoje, czy są wszystkie — a jeśli któregoś brak, och! to wie pewno, że go smok porwał — i wtedy usłyszalys jeden tylko krzyk, jeden jęk, jedno tylko słowo, ale w którym całe piekło rozpaczy się mieści: „On w Cytadeli!”

Sześciu było ci Francuzi! — im zdaje się, gdy czytają Eugenjusza Sue, że już poza jego romanów okropnościami niema — posiadają go nawet o przesadę — szczęśliwi! — Gdyby Eugenjusz Sue mógł domyślić się choć części tych misterjów, tych tajemnic cytadełskich codziennie odgrywanych, toby ostupiał z całą swoją fantazją, z całą swoją władzą malowania.

Gdyby zobaczył tych, co porwani cytadełskim smoka dziećmi, wychodzą z niego po niedługim czasie niedołężnymi starcami — wtedyby się nauczył, że są męczarnie ciała czy ducha, od których mózg się przewraca a o których jemu ani się śniło!

Największym dobrodziejstwem powstania 1830/1 r., było to, że jak grzmot ziemi, wrzuciło młode serce, nauczyło nas patrzeć na siebie, nie na karierę, jak świat nazywa, ale na Ojczyznę. — Już więc męczarska śnieć Artura Zawiszy szerokie echo znalazła w młodzieży naszej. — Kilku porwano z jego mogiły, zbierających szczątki jego szubienicy i gruclki ziemi krąg rozstrzelanych, toby towarzyszy szerzejwziętej — i wysłano do wojska na Kaukaz. — Wiersz z Wirgiliusza: „Niech mściłcieli powstanie z

kości naszych!”, napisany w klasie na tablicy w dzień jego skonu, był kluczem do mego najpierwszego wizerunku. — Wizerunkiem tem była sala, w której niegdyś Lelewel nauczał — a na szybce jednej wyrznięta była zwrotka z „Ody do młodości”:

*Witaj, jutrzniem swobody!
Za tobą zbawienia słońce!*

Po pierwszym śledztwie powiedział mi z szyderstwem rektor: „Ha! to poezja! wszystko to poezja!”

Ten Niemiec — gdyż to był Niemiec — w szyderstwie powiedział prawdę — bo poezja a miłość ojczyzny, to dwa promienie jednego światła — kto prawdziwie poezji nie czuje, ten pewnie Polski nie kocha.

Przypatrzmy się wszystkim naszym prawdziwie polskim stowarzyszeniom — tam gruntem, podstawą, dźwignią, jest poezja! tam wszyscy są poeci, jeśli nie słowem to czynami — tam wszyscy żyją poezją — miłością — braterstwem — niebem! — To, też idą na wygnanie lub na śmierć spokojnie, bo wiedzą, że są zaślubieni z niebem — że się im niebo należy — że dla nich niema innej siedziby po ojczyźnie, jeno w niebie!

I niech nikt nie myśli, że idealizuję. — Proste to bowiem i najfogięniejsze następstwo — niema religii bez poezji — niema poezji bez religii — im duchowniejsza poezja, tem prawdziwsza religia — im duchowniejsza religia, tem prawdziwsza poezja!

Choćby niejen z nas dzięki zagranicznej filozofji wytydził się wyznac, że kocho Boga, choć niejednemu wypierał się i za mądrość to sobie poczytywał, jednak całe jego postępowanie zadawało fałsz tym słowom. — I doś było jednego spojrzenia w siebie przy czyszy więzieniu i oderwaniu się od świata, a wnet ów mniemany bezbożnik stawał się samym sobą, t.j. wyznawał się głośno i

sumiennie uczniem Chrystusa. — Polska stawała mu się świętością religijną — cierpieć i umierać za Polskę, było u niego cierpieć i umierać w sprawie Bożej.

Otóż jest cała tajemnica potęgi i nieśmiertelności polskiego ducha!

Poezja i miłość ojczyzny skupiła nas, jeszcze wówczas studentów, w małe grono literacko-polityczne. — Zbieraliśmy się wieczorami na poddaszu jednej z kamienic przy ul. Młynnej w Warszawie. — Do tego to Młynego poddasza odwołuję się w piosence mojej w Moskwie pisanej.

Poddasze to, inaczej facjają, zwane, długie, szerokie, ale ciemne i przez małość okien z dachu wysterczających — i od masy tytoniowego dymu, nieustannie tworzącego obłoki, było ogniskiem zbierającym w siebie całą prawie ówczesną młodzież warszawską, zaczynającą czuć i myśleć po polsku. — Tam to czytaliśmy książki zakazane przez cenzurę, a szczególnie historii naszej dotychczas — i poezję.

Tam to nieraz, uniesieni czarodziejstwem wiary i poezji, wykrzyknawszy chórem: „Hej! ramię do ramienia!”, stawaliśmy kołem, niby opasując cały świat stary, i kończyliśmy z Mickiewiczem:

*Dalej! z posad, bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory!...*

Och! i świeć się! i świeć się, wiecznie wieku młody!

Raz wpadły nam w ręce pamiętniki własne Kiłińskiego. Cóż to była za uciesha! i dziś jeszcze ją pamiętam!

Ten szewc zany, knujący za warsztatem tak wielkie zamiary, ten Polak prawdziwy, wierzący tylko w Boga i szablę swoją, ten pułkownik wojska narodowego, głośno i dumnie przyznający się do swojej dratwy, tak nam głowy zawrócił, taką w nich sprawił

zawrotność!

Natura harmonizuje z ludzkością. — Wspominając o Szewcach, nie mogę pominąć tego, który był duchem ożywczym w tym związku czystopolskim. Michał Olszewski! — drogi, jedyny, kochany, nasz Michaś! — Nikt z tych, co go znali, na wspomnienie to od leż się nie wstrzyma. — Nazywaliśmy go Michaśkiem, boć to było stworzenie takie jeszcze młodzieńcze! takie pieszczotliwe i tak ligające do serca!

Biedny Michaś!

Ja nie więcej powiedzieć nie mogę — w tem westchnieniu za nim jest wszystko! — Boć i jego życie było to jedno tylko krótkie, gorące a łzawe westchnienie za Polską do Boga! przyszło — i przeszło po naszych sercach, po naszej Polsce, jak westchnienie ciche, wieczne, którego prócz współwziewców nikt nie zrozumiał, które tylko Bóg usłyszał!

Była to gwiazdeczka, co powinna było długo, długo świecić — ale car ją zgasił wizerunkiem — wygnaniem — Syberiem! — Został się po niej tylko promysek w naszych sercach — w sercach współtowarzyszów i współwziewców promysek miły, łagodny a smutny, o! smutny! Został się dla świata urwerek mały jego prac historycznych, o którym z pochwałą wspomina Michał Wiszniewski w t. 1 „Historji literatury polskiej”.

W r. 1839 szanowany jako sołtys Stowarzyszenia Ludu Polskiego na lat pięć do kopalni sybirskich w Nereżyńsku, a potem na posiedzenie, umarł w ciągu drogi w lazarecie wojskowym w Irkucku w kajdanach moskiewskich.

Jak w szkole na jednej siedzieliśmy ławce, tak w więzieniu na jednym korytarzu rozdzielni tylko dwiema celami. — Na kilka godzin przed moim wywiezieniem — szczęśliwym a rzadkim przypadkiem — spotkał się na tym korytarzu. Wyrażnie Bóg chciał, żebyśmy się pozegnali. — Ucisł się raz pierwszy i ostatni po tak długim, bo całorocznym niewiedzeniu — nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa, bo w tym uścisku braterskim usta nie miały wyrazów. — A wiedzieliśmy dobrze, że widzimy się raz ostatni na ziemi — że jednego z nas wywożą z tej nocy, bo popoprzedniej czterech z nas wywieziono — toteż pożegnaliśmy się z myślą: „Dowiedzenia tam! wysoko — u Boga!”

W parę godzin potem przeczytano mi wyrok. — Najprzód na śmierć za zbrodnicze zamiary przeciw *prawemu* rządowi — później do wojska na Kaukaz bez wysługi — później z wysługą — nakoniec ostatecznie na Sybir — i wpakowano w kibitkę.

Zandarmi krzyknęły: „Ruszał!” — i kibitka pognała — zahuczała na moście u bramy cytadełskiej, zażęta na bruku warszawskim — mignęła koło teatru, z którego właśnie w tej chwili tułyśmy szczęśliwych widzów wychodziły — bo była to godz. 10 w nocy — potem dalej — na pl. Saski — na most praski — przez Wisłę, przez rogatki, przez pola Grochowe, Wawru, Dębę. — Obejrzałem się — za mną trzę jeszcze kibitki trzech braci! trzech kolegów! — dalej za mną, dalej — coraz dalej czerniło się wielkie ogniste serce mojej Ojczyzny — kolebka i grób mego szczęścia — Warszawa! wadania.

MICHAŁ BALIŃSKI.

KAROL BALIŃSKI.

MICHAŁ BALIŃSKI

NAPOLEON I JAN ŚNIADECKI

Kiedy jeszcze r. 1804 Jan Śniadecki z całą energią mekiego wieku, oburzony zachwiałem potwarzami i niewiadomościami Villersa, wystąpił w wielkim zaszczytnym dla siebie w obronie nauk i uczonych polskich, pierwszy raz imię tego znakomitego meża odbiło się o uszy bohatera świata. Napoleon czytał z ciekawością gruntowne pismo nadwilańskiego meclera, który nie wazując na olbrzymią powagę uzonego areopagu Francji, ośmielił się przez miłość prawdy i kraju własnego wobec milionowej ludności Paryża, wytknąć niedorowany bład tym, co w dobrej wierze uwieczali grubszą jeszcze błąd niewiadomości pisarza. Napoleon więc znalazł już oddawna sławę uczoną Śniadeckiego, gdy pamiętne na zawsze wypadki wojny r. 1812 zbliżyły ich do siebie, na krótko wprowadziły, ale dość zajmującym sposobem dla zachowania tego w pamięci potomnych.

Dn. 28 czerwca r. 1812, w dzień św. Trójcy, zrana około godz. 10 wysłali Francuzi do Wilna, z popołudniu przybył sam cesarz Napoleon. Rektor uniwersytetu nie sądził za rzecz przyzwolną, a przynajmniej konieczną potrzebą, wojska się samemu albo z całym korpusiem uniwersytetu na pokoje cesarskie, czekał więc na sposobną porę do posuchania. Tymczasem tłumy wojskowych różnego stopnia i mieszkalców obległy pałac. Napoleon, przyjąwszy szlachetnie, mówił że słyszał o uniwersytecie i o jego rektorze, którego zna oddawna z pism jego i którego mu polecono jako znanego człowieka.

Na trzeci dzień po wejściu Francuzów, t.j. dn. 30 czerwca, jeden z szambelanów cesarskich wszedł do rektora z rozkazem, żeby się natychmiast stawiał przed Napoleonem. Śniadecki, lubo codziennie nosił wicemundur akademicki, chodząc jednak przez cały ranek po mieście i po kolegium dla obrony ziomstwa, tak się zawałał w błoście, że prosił o chwilę czasu do przebrania się. Ale szambelan powiedział, że to nie nie znaczy i że cesarz czeka go bezwzględnie. Udał się więc jak stał do pałacu i przeszedłszy w takim ubraniu pokoje napełnione młotemw jasnających od złota i srebra marszałków i generałów, o godz. 11 zrana wprowadzony został przed oblicze zdobywcy Europy.

Wszedłszy do gabinetu, zastał Napoleona spoczywającego na kanapie po odbytem przeglądzie wojsk, z głową na ręce opartą. Napoleon zmierzwiwszy przenikniętym swoim wzrokiem Śniadeckiego, zapytał go nie poruszając się z kanapy: — Etez-vous patriote, monsieur le rector? — Od kolebki, Najjaśniejszy Panie, nauczyłem się kochać mój kraj, jego nieszczęścia mocno nie jeszcze do niego przywiązały — odpowiedział Śniadecki.

— Oui, votre pays a passé par des grands

malheurs, la faute en est aux Polonais en partie. Mais je suis venu réparer les torts, qu'on a eu envers vous. Le reste dépend de vous autres. Mais vous n'etez pas natif de cette province.

Gdy na to Śniadecki odrzekł, że jest z Wielkopolski, cesarz oświadczył, że pamięci tego kraju zawsze dlań miła zostanie.

— Depuis quand etez-vous à la tête de l'université? — pytał dalej.

Tu Śniadecki, odpowiadawszy na to zapytanie, musiał wejść w obszernie szczegóły o korpusie, którego był naczelnikiem, jego przywilejach, funduszach, profesorach i naukach przez nich wykładanych. Zapytania bowiem szły raptownie i słuchano było z uwagą i z upodobaniem. Napoleon dotąd leżał ciagle nieruszony na swojej kanapie, ale kiedy Śniadecki, wylizując dobrodziejstwa zlane tak hojnie na to zgroźdzenie i nauki, wyznał z uczuciem wdzięczności, że je kraj winien wspaniałomyślności imperatora Aleksandra, zerwał się przedk cesarz i rzuciwszy bystrym okiem na Śniadeckiego, uderzony wyrazem prawdy i wdzięczności, zawołał:

— Oui, l'Empereur Alexandre est un bon prince. Oui, vous avez raison, c'est un bon prince!

Wstał potem zaraz z kanapy, i szybkim krokiem chodząc po pokoju, jeszcze dwa razy powtórzył te słowa. Nakoniec stając przedk przed Śniadeckim, wziął go za rękę i powiedział:

— Vous etez un honnête homme, monsieur le rector! allez et présentez moi vos collègues.

Pierwsze to posłuchanie trwało godzinę prawie. Śniadecki zaledwo miał cokolwiek czasu do zebrania rozproszonych dla wrzawy wojennej po mieście profesorów i przebrania się, aby stanąć w urzędowej postawie, na czele poważnego ich grona, wobec tak wielkiego wojownika, który zarazem potężnie wspierał nauki. Wteniasz to jeszcze w tych krótkich i stanowiących chwilach, nakreślił w niewielu wyrazach ową pamiętną mowę, którą stanowią na czele grona uczonych meżów, powiedział do Napoleona i która wiecznym dla jego rozumu i taktu w urzędowaniu pomnikiem zostanie! O godz. 2 pp. tegoż samego dnia, Napoleon słuchał jej, otoczony marszałkami i dworem przy nim będącym, a Śniadecki mówił następnie:

— Najjaśniejszy Panie! Uniwersytet wileński przybywa żółty Waszej Cesarskiej Mości hołd głębokiej czci, uwielbienia i ufności. Ta starożytna szkoła, założona przez Batorego, dźwigniona od Stanisława Augusta i obypnana dobrodziejstw Aleksandra I, widzi losy swe złożone teraz w rękę bohatera, który zadrwina świat i wiek swój dziełami męstwa i geniuszu i waży przeznaczenia państw i ludów. Poświęceni pracom około instrukcji publicznej, bacząc na niezmierne dobrodziejstwa, wspaniałomyślnością Waszej Cesarskiej Mości zlane na sztuki i umiejętności, ośmielamy się mieć nadzieję, że Wasza Cesarska Mość raczyś, dając nam i naszym pracom opiekę, być oredownikiem dzieła Batorego, który i chwalebni czynami oręza swego i wspieraniem nauk kwitujących pod nim, zasłużył na niewygasłą wdzięczność Polaków!

Z widocznym zadowoleniem przyjął Napoleon te wyrazy prawdy i wdzięczności, które umiał pojąć i ocenić tem bardziej, że w obecnem swoim położeniu rzadko się z nim spotykał. Cesarz każdego z osobna profesora wypytywał się o jego naukę i lekajach, a w swojej z nim rozmowie okazał wiele gruntownych wiadomości i nadzwyczaj trafnego sądu o rzeczach; odchodząc z sali posłuchalnej, przyrzekł zgromadzeniu pomoc i opiekę, i zakończył temi słowami:

KAROL BALIŃSKI (1817—1864), syn lekarza legionów Dąbrowskiego, Tomasza, i Marii Anny O'Ryan z Madrytu.

MICHAŁ BALIŃSKI (1794—1864), syn cześnika Ignacego i Anny z Korsaków, ożeniony z córką Jędrzeja Śniadeckiego, Zofią.

IGNACY BALIŃSKI, ur. 1862, wnuk brata Michała, Ignacego; syn Józefa i Józefy z Jundziłłów.

STANISŁAW BALIŃSKI, ur. 1898, syn Ignacego i Marii z Chomętowskich, wnuczki A. E. Odyńca.

IGNACY BALIŃSKI

Zapał

Zapał — to krew,
Co w młodem kipi łonie;
To święty znicz,
Co wiecznym ogniem płonie.
Zapał — to myśl
Promienna i skrzydalata,
Co z posad chce
Poruszyć bryły świata.
Zapał — to dłoń
Bez końca bojów chwiała.
Powodzi toń,
Co wszystkie groble rzywa.
Płonący stos,
Co zarem technię dokola.
Potężny głos,
Co wiecznie: „Naprzód!” woła.
Wieg chociaż grom
Za gromem z góry bije,
Północny wiatr
Choć szarpie, huczy, wyje;
Choć szara mgła
Zalega świat naokół,
A trwożna myśl

Jak ranny drzemie sokół;
Choć krępną wraz
I dłoń i myśl i serce,
Niech zapał w nas
Choć w drobnej tkwi iskieřcie!
Niech młoda krew
Na serca dnie się żarzy,
Gdy luna zórza
Nie może być do twarzy;
Niech bystry prąd
W dal pynie póki może,
Nim wieku lód
Zakuje go w obroź!
Bo przejdzie ten
Czystoczysty dusz męczarnie,
Kto młodość swą
W gnuśności przepisał marnie,
I przenieśli świat
Na starość w próżnym sałe,
Kto w wiosnie lat
Zapału nie znał wcale.

IGNACY BALIŃSKI.

STANISŁAW BALIŃSKI

Elegja o ziemi rodzinnej

Gdzie jesteście, białe domy, zielone ogrody,
Łąki szare, sławy siwe — gdzie jesteście!
Pod powieką was widzę, jak we śnie,
Długie, długie kresowe wody.

Tam powrócę przez las i tę stację,
Gdzie czekała wiejskie konie i pojazdy —
Będę chodził, będę wspominał wakacje,
Kiedy był lipiec, noc, gwiazdy.

Na polance stanę akasminowej,
W słońca rannego obłoku;
Tutaj zbierało się grzyby
W tysiąc dziewięćset czterdziątym roku.

Po drodze pójde nowogrodzkiej,
Zachodu odkrytej salem:
Zgubiłem tam raz pugilares,
Nigdy nie mogłem go znaleźć.

Na gościnnie polskiego mosty,
W las wyjdę zielonociemny;
Z mostów pięć mil i trzy wiorsty

Liczyło się do Niemna.

Tam pojechać, to było: marzenie,
I las nawet pachniał jakby rzeką,
Podróżami wiało z tamtej strony,
Lecz mówiło się: to za daleko.

Będę chodził, będę dreptał wkołko,
Jak ta myśl, co mi duszę przewierca,
Że w trzech milach ziemi kwadratowych
Nie można zamknąć serca.

Będę łowił te blade wspomnienia,
Które, będąc jeszcze chłopcem,
Odkładałem przezornie na przyszłość,
By ten kraj mi się nie stał zbyt obcy.

I porożcie, i odjadę. Znowu wróce —
Ale kładę miedzi powoń oddali —
Bo nie umiem kochać tej ziemi,
Bez której umarłbym z żalu.

STANISŁAW BALIŃSKI.